

**W numerze:** ANDRZEJ HAMPEL *Bieg do koryta czyli anatomia klik* ● EUGENIUSZ IWANICKI  
**Gdybym pisał książkę wspomnień** ● TERESA WOJCIECHOWSKA *Nerwica cybernetyczna*  
 ● RYSZARD BINKOWSKI *Cicha noc, spokojna* ● **Recenzje** ● **Zewsząd o wszystkim**

# odgłosy



43 (727)

24. X. 1971 r.

Cena 1,50 zł

**TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIV**



Fot. J. Surowiak

KRZYSZTOF POGORZELEC

## MIĘDZY SERCEM A ROZUMEM

### Raport

Nie jest przypadkiem, że łodzianie tak właśnie mówią o tym dokumencie, choć oficjalnie nazywa się on zupełnie inaczej: PROGRAM ROZWOJU I MODERNIZACJI MIASTA ŁÓDZI W OKRESIE 1971—1975 ORAZ ZAŁOŻENIA NA LATA DALSZE. Tak, to nie przypadek. Wszak to drugie co do wielkości miasto w naszym kraju po raz wtóry w swojej nieco — przynajmniej to — naciąganej, jeśli mówimy o 550-leciu, miejskiej historii otrzymuje podobnego typu dokument. W roku 1825, Stanisław Staszic w swoim raporcie z podróży lustracyjnej donosił:

„Łódź — małe drewniane miasteczko Rządowe, od dwóch lat na fabryki rozmaite przeznaczone. Położenie miejsca tego jest szczególnie z wielu względów, znajduje się z całą swoją rozległą okolicą pod obszernym i wyniosłym wzgórzem, z którego tryszcza źródła... Jest to z natury przysposobione miejsce nie tylko dla fabryk sukiennych, ale szczególnie dla wszelkiego gatunku rękodzielnictwa bawełnianych i lnianych”.

Od tych słów zaczęła się włókiennicza, ściślej — bawełniana kariera Łodzi.

Jest październik roku 1971. W dokumencie przygotowanym przez komisję powołaną zarządzeniem nr 27 Prezesa Rady Ministrów, z dnia 15 marca br. znajdujemy następujące stwierdzenie:

„Zachowując charakter miasta przemysłowego, a równocześnie pozostając centrum przemysłu włókienniczego Łódź powinna uzyskać w stosunku do minionego okresu możliwości bardziej intensywnego rozwoju zarówno w dziedzinie przemysłu, jak i gospodarki miejskiej”.

Analogie są oczywiste. Niemniej łatwo dostrzec istotne różnice. W dokumencie Staszica jako na decydujący czynnik miastotwórczy wskazywano na przemysł włókienniczy, szczególnie bawełniany. I bawełniany był fundament wielkoprzemysłowej kariery Łodzi. Inaczej jest w Raporcie z roku 1971. Mówi się w nim, że Łódź pozostanie centrum krajowego włókiennictwa, ale uzupełnia się to stwierdzenie dalszą niebagatelną ciężarą tezą: „...powinna uzyskać w stosunku do minionego okresu możliwości bardziej intensywnego rozwoju zarówno w dziedzinie przemysłu, jak i gospodarki miejskiej”. Użyto określenia: **przemysłu**. W ogóle, a nie jakiegoś szczególnego, a tym bardziej **jedynego**. I tu zaczynają się rozterki łodzian, konflikt między tym, co jest w sercu, a co dyktuje rozum. Tak, zimna gospodarcza i socjologiczna kalkulacja. Może nawet wyrachowanie. Ten problem właśnie w świetle Raportu z roku 1971, warto jednak „przewentylować”.

Dalszy ciąg na str. 3

ROMAN LOBODA

## Siedem przykazań ludzkich

Człowiek istota jednak poznawalna. W zależności od uwarunkowań ujawniają się jego cechy — złe i dobre. W zależności od jego (człowieka) cech zmieniają się uwarunkowania. Rzecz w tym, żeby one wyzwały więcej cech dobrych niż złych. Prawdy nie od dziś znane, jak również, że podstawą rozwoju człowieka jest jego aktywność w poznawaniu i organizowaniu świata. Truizmem jest również, że aktywność czyniła dobro i czyniła zło, że służyła człowiekowi i kierowała się przeciwko niemu, że przyspieszała i hamowała postęp. Z tego też powodu od inicjatywy i aktywności pragnę rozpocząć rozważania na temat...

I.

Jest dość oczywiste, że nie każda inicjatywa i nie każda aktywność przedstawia wartość społeczną.

Bywa bowiem, że inicjowanie nie zostało poprzedzone żadnym przemyśleniem, zaś zwąwa aktywność uchwyliła impuls, nie zastanawiając się ani nad przydatnością obiektywną, ani nad spo-

sobami realizacji. Przykładów nie musi się przytaczać. Ale nie w tym rzecz. Słuszny apel o wzmocnienie inicjatywy i aktywności społecznej, ba! słuszny... konieczny, wielu zrozumiało i realizuje właściwie, zauważa się jednak — jak gdyby reanimację „idei” udawania pracy i działalności. Niektórzy albo po staremu interpretują to zagadnienie, tylko pod hasłem „aktywność” i normalnie zasłaniają bezczynność gwałtownymi gestami, albo czynią sobie z aktywności sport pt. wyścigi do nikąd, wzywając do działalności, która jest bezcelowa lub zgola bezniewna.

Tego rodzaju inicjatywy poza tym, że wywołują nastrój gorączkowej gonitwy, że przeszkadzają w rozsądnej aktywności, są zwyczajnie szkodliwe, bowiem po pierwsze trwonią energię społeczną, po drugie odwracają uwagę od rzeczy ważniejszych, po trzecie — mogą wzywać nas „do pożaru” tam, gdzie go nie ma, a odciągać od ognia, gdzie on jest w istocie. Łączy się to również z zagadnieniami efekciarstwa. Efekciarstwo to na ogół cecha ludzi, którzy traktują pracę jak zabawę. Nie ma to, oczywiście, wiele wspólnego z radością twórczą. Efekciarstwo nie troszczy się o koniec dzieła. Dziecięcość takiej postawy jest owocem niewłaściwego

wychowania w najszerszym tego słowa znaczeniu.

I wreszcie efektywność.

II.

Nie gardząc formą, która jest urodą dzieła, która w przemyśle i w handlu bywa wizytówką treści, funkcjonalnością i radością oczu; w sztuce zaś często jest zapłonem i początkiem treści, prowokuje ją i nadaje odrębność; nie gardząc formą, można się w niej dopatrywać tego dobra społecznego, które nazywamy potocznie modelem działalności i współżycia.

W tej mierze oświata, kultura i sztuka modeluje i aktywizuje obszary najczulsze, niewymierne, a jakże niezbędne, jak chleb i woda w życiu każdego z nas i w życiu społeczeństwa. Sztuka i kultura bowiem nie tylko kształtuje formy współżycia między ludźmi, lecz również, rozwijając naszą osobowość, wrażliwość, smak, umysł i wolę, ukazuje coraz to nowe, coraz szersze modele bytu, modele życia.

Sztuka — to tworzenie, tworzenie — to praca, która sprawia radość, praca zaś, która sprawia radość — to urabianie bezkształtnej i opornej materii w skończony produkt, coraz doskonalszy produkt naszego zamysłu.

Chodzi o to, żeby dzieło naszego zamysłu nie ulegało rozproszeniu, a nawet zmarowaniu. Rewolucja naukowo-techniczna, to szeroko zakrojony proces modernizacji naszego życia materialnego. Bez nowego klimatu i stylu pracy urzeczywistnienie tego planu nie mogłoby być realne. A coż to jest styl i klimat pracy? Styl, to nasz stosunek do dzieła, poparty wiedzą doświadczeniem i przeświadczeniem o jego humanizmie, to znaczy, że służy ono człowiekowi — mnie i jemu. Klimat, to uwarunkowania psychiczne, które stwarzamy, aby praca dawała zamierzone owoce.

Prawidłowa baza, a więc lokalizacja pracy, środków, narzędzi produkcji, dobra organizacja, ochrona zdrowia itp., to dopiero podstawa wyjściowa do wytworzenia właściwego klimatu. Reszta jest kulturą pracy, którą tworzy nie co innego, tylko kultura w ścisłym tego słowa znaczeniu. Zadane zagrzewania, nawoływania i zaklęcia nie pomogą naprawdę i na trwałe, jeżeli nie wytworzysz w człowieku przeświadczenie, że jego praca ma sens, cel i obiektywizuje się społecznie.

Dalszy ciąg na str. 3



**Komentator** w tygodniku, który z konieczności musi bardziej niż w dziennikach selekcyjować wydarzenia, ma jednocześnie możliwość ich oceny z perspektywy kilku dni. Może więc z łatwością zauważyć, które ze zdarzeń minionego okresu, odbiło się najszerzym echem na świecie. Tę uwagę czynię po to, aby w bieżącym tygodniu jako główne wydarzenie międzynarodowe zakwalifikować zapowiedź podróży prezydenta Nixona do Moskwy. Wiadomość ta awansowała do czołowych w doniesieniach agencji i komentarzach prasowych. Z pewnością nie tylko dlatego, że w ciągu ostatnich 30 lat będzie to dziesiąte spotkanie radziecko-amerykańskie na szczycie i że ostatnie odbyło się przed z górą 4 lata. Są i inne, bardziej liczące się powody.

Na konferencji prasowej Nixon ujawnił, że przywódcy radzieccy i amerykańscy uznali celowość takiego spotkania wówczas, gdy osiągnięty zostanie wyrazny postęp w negocjacjach między oboma rządami. Ogłoszenie teraz, że wizyta dojdzie do skutku w maju przyszłego roku, oznacza osiągnięcie takiego postępu, jest pozytywną oceną dotychczasowego przebiegu wzajemnych kontaktów. Wyraża jednocześnie przekonanie obu mocarstw, że do planowanego terminu podróży nastąpią nowe fakty odprężeniowe. Czy będzie to zawarcie porozumienia o ograniczeniu zbrojeń strategicznych, który to problem negocjowany jest przemianami w Helsinkach i Wiedniu, czy też inne porozumienie — jeszcze nie wiemy. 7-miesięczne jednak uprzedzenie opinii publicznej o rozmowach supermocarstw ma wagę zobowiązania, iż w tym czasie wzajemne stosunki nie tylko nie ulegną pogorszeniu, ale dalszej poprawie.

To ostatnie spostrzeżenie musi być rozpatrywane także w kontekście wcześniejszej wizyty Nixona w Pekinie, do której podjęto już bezpośrednie przygotowania (wyjazd Kissingera do stolicy ChRL). Na wspomnianej konferencji prezydent USA podkreślił: „Zadana z tych podróży nie jest podejmowana w tym celu, aby wykorzystać rozbieżności, jakie mogą istnieć pomiędzy tymi dwoma narodami”. Dodał też, że wszelkie spekulacje jakoby jedna z podróży była planowana tak, aby miała wpływ na drugą — są absolutnie bezpodstawne. Inaczej mówiąc — pekińskie rozmowy Nixona nie mogą wpłynąć niekorzystnie na stosunki amerykańsko-radzieckie, gdyż wówczas nie mogłoby dojść do wizyty moskiewskiej.

I kolejna uwaga. Oficjalnie już zapowiedziano, że celem spotkania prezydenta USA z radzieckimi przywódcami będzie dokonanie przeglądu najważniejszych wydarzeń, poprawienie bilateralnych stosunków oraz uczynienie kolejnego kroku w kierunku umocnienia światowego pokoju. Można więc oczekiwać, że obie rozmawiające strony będą chciały zbliżyć stanowiska w najważniejszych problemach światowych.

Wszystko to razem sprawiło, że zapowiedź podróży Nixona do Związku Radzieckiego przyjęta została jako niezmiernie ważny akt odprężeniowy, który w stosunkach Zachód-Zachód powinien przynieść wyniki już teraz, zanim jeszcze wizyta nastąpi.

Dla Nixona będzie to czwarta podróż do Moskwy — pierwszą jednak po objęciu urzędu prezydenta. Poprzednio: w 1959 roku prowadził rozmowy jako wiceprezydent, w latach 60 dwukrotnie bawił w ZSRR jako osoba prywatna, przy czym ostatnio — w 1967 roku jako ewentualny kandydat partii republikańskiej na prezydenta. Nie odbył wtedy ważniejszych rozmów politycznych, nie spotkał się z radzieckimi przywódcami.

Przypomnijmy jednocześnie, że ostatnią wizytę przywódcy radzieckiego złożył w Stanach Zjednoczonych w czerwcu 1967 r. Premier Kosygin spotkał się wówczas dwukrotnie z prez. Johnsonem. Planowana rewizyta ówczesnego prezydenta USA — w klimacie wydarzeń czechosłowackich — nie doszła do skutku. Dialog radziecko-amerykański na najwyższym szczeblu wznowiony więc zostanie po dłuższej przerwie i po raz pierwszy będzie w nim brał udział Nixon.

Z serii wizyt, którym — tak się złożyło — wiele poświęcamy miejsca w przeglądzie wydarzeń odnotujemy jeszcze moskiewskie rozmowy prez. Egipskiej Republiki Arabskiej — Sadata oraz podróż premiera Kosygina do Kanady. Obie oceniane są jako część składowa wysiłków Związku Radzieckiego, zmierzających do szybkiego poprawienia klimatu politycznego w świecie.

Z innych wydarzeń odnotujemy oficjalną wypowiedź francuskiego MSZ na temat możliwości zgłoszenia kandydatury amb. Jarringa na stanowisko sekretarza generalnego ONZ. Dwukrotnie już pisaliśmy, w jak trudnej sytuacji postawił U Thant kraje członkowskie ONZ swoją odmową kandydowania raz jeszcze. Czy problem rozwiąże właśnie propozycja francuska? Prasa światowa podkreśla, że szanse Jarringa są duże, gdyż jego nazwisko spotkało się z aprobatą delegacji ZSRR, W. Brytanii i USA.

W. SŁAWSKI

## Zewsząd o wszystkim

### Widziałem w Chinach

„L'EXPRESS” — PARYŻ

Z samolotu panorama zachwycająca: domostwa tonące w rozległych polach, mosty, drogi pnące się ku szczytom gór. Chiny... Gigantyczny 750-milionowy kraj.

Przybyłem do Szanghaju, największego miasta Chin. Na pół godziny przed naszym lądowaniem megafony obwieściły mieszkańcom miasta, że przybył jakiś zagraniczny działacz państwowy. Skutek zaskakujący. Wzdłuż drogi, którą jedziemy — masy ludzi. Na przetrzeni dziesięciu kilometrów. Przyległe ulice także zatłoczone. Ten nieoczekiwany epizod towarzyszy mojej pierwszej, krótkiej rozmowie z pracownikami rewolucyjnego komitetu miasta.

Bez ogródek pytam, jaki los spotkał byłego mera Szanghaju Tsao Tsi-szu i byłego przywódcę miejskiej organizacji partyjnej, Czeń Pi-szenia.

— Obaj okazali się sprzedawczykami — usłyszałem w odpowiedzi. — Reprezentowali linię kapitalistyczną.

— Więc co się z nimi stało?

— Zostali skierowani do pracy fizycznej.

— A Liu Szao-tsi?

— Znów podporządkowany dyktaturze proletariatu. Przechodził reedukację. — I dodaje:

— Wszyscy oni są politycznymi trupami, ale zachowaliśmy ich przy życiu.

Obrazy, kolory, sensacje. Tylko brak żywego dźwięku, który by służył za tło. W tym kraju bez much, bez psów, bez psów i bez kotów słychać tylko pobrzękiwanie rowerowych dzwoneczków i cykanie koników polnych.

Kanton. Twarze chmurne, obojętne. W innych miejscowościach, podczas mojej trzytygodniowej podróży, spotykałem i uśmiechy. Tutaj nie. Wyniosła obojętność.

W Kantonie spotkały nas władze — ludzie w wojskowych uniformach. Przewodniczący miejskiego komitetu rewolucyjnego — wojskowy, przewodniczący rewolucyjnego komitetu prowincji — także. Jedyny cywil, niejaki Tao Tszu, który w okresie „rewolucji kulturalnej” zrobił tutaj karierę, jest dziś w nielaskę.

— Był zdrajcą narodu, renegatem — mówi miejscowy dziennikarz.

— A jaki jest los Kuan Ti, byłego pierwszego sekretarza miejskiej organizacji partyjnej?

— Odpowiada niechętnie, sucho, mgliście:

— Jest tam, gdzie powinien być zawsze.

Pytam pracownika miejskiego komitetu rewolucyjnego, czy w czasie „rewolucji kulturalnej” miały miejsce w Kantonie jakiegoś rozruchy?

— Tak. W lipcu i we wrześniu 1967 roku.

— Ofiary?

— Byli i zabici.

— Skąd te rozruchy?

— Do szeregów mas przeniknęli wrogowie.

— W jaki sposób zdobyli broń?

Kradli z wojska. W tym czasie przejeżdżał też do nas Czou En-lai, przemawiał do tłumów.

Etykieta „wrogie elementy przeniknęły do mas” określa się w Chinach ekstremistów, próbujących przeliczyć lewe skrzydło inicjatorów „rewolucji kulturalnej”. Wierzą oni w „permanentną rewolucję”, w improwizację władzy, w „wielkie święto”.

Krytyka rewolucyjna — hałasowali hunwejbini — nie ma granic. W Kantonie wybrali sobie za tarczę dowódcę garnizonu miasta. By

ło to najwidoczniej tą ostatnią kropką, która przepelniła czarę cierpliwości armii. Koniec końców wojsko rozprawiło się z ekstremistami. Kanton, podobnie jak i inne miasta chińskie, cierpi do dziś na uraz, którego doznał w okresie „rewolucji kulturalnej”.

W Pekinie, młody człowiek o imieniu Yan, który był hunwejbinem, opowiadał mi, jak to na uniwersytecie Cinhua studenci walczyli między sobą, używając karabinów i granatów. Hunwejbini rozdzielili się na dwie wrogie sobie frakcje, oskarżając się wzajemnie o rewizjonizm. Około 400 studentów, w bojowych hełmach i uzbrojonych w karabiny, zabarykadowało się w budynkach uniwersyteckich i rozpoczęło bezpardonową walkę. Aż wreszcie w kwietniu 1967 roku oddziały wojskowe wdarły się do miasteczka uniwersyteckiego i „pogodzili” obie strony na swój sposób.

Czy te anarchiczne elementy były podporządkowane jednemu ośrodkowi centralnemu? Yan odpowiada twierdząco.

Działala nawet — mówi — bardzo niebezpieczna, tajna organizacja, nosząca nazwę „grupy 16 maja”. Właśnie jej członkowie zaczęli krytykować Czou En-lai, próbując w ten sposób zahaczyć samego przewodniczącego Mao. Dzięki demagogicznemu hasłom, udało im się otumanie wielu ludzi, a wśród nich i studentów. „Grupa 16 maja” jest dziś kołem ofiarnym. Utrzymuje się, jakoby ona właśnie zajęła ministerstwo spraw zagranicznych i uwieźliła ministra, że właśnie jej stronnicy skierowali tłum do szturmowania ambasady krajów zachodnich i wywołali zamieszki w Hongkongu. Niedawno sądzono obecnie do trzech lat. Człowiek odpowiedzialny za upowszechnianie idei przewodniczącego Mao na uniwersytecie mówi: „Przedtem, rektor Lu Pin, stawił na pierwszym planie wiadomości encyklopedyczne, przygotowując arystokratów nauki. Programy były przeciążone i obejmowały wiele niepotrzebnych elementów”. Obecnie dyscypliny teoretyczne ustępują czysto utylnym. Profesorowie i studenci przepytują się wzajemnie i egzaminują. Studia filozoficzne sprowadzono do nauczania idei Mao.

Czy jednak przewodniczący Mao, w drodze wyjątku, nie może kiedyś popełnić błędu? — spytałem znajomego Chińczyka. Uśmiechnął się i patrząc mi w oczy, odpowiedział: „To niemożliwe!”

Ten, kogo interesuje chińska ekonomika, zaraz na wstępie musi się zmierzyć z bezdenną statystyczną niedokładnością, wynikającą choćby tylko z tego powodu,

— Starcia były poważne? — Tak. Nawet pospolite ruszenie rozdzieliło się na dwa obozy.

— Czy użyto karabinów? — Nie tylko. I armat.

— Armat? — Tak, ale małego kalibru.

— Czy winne są temu lewackie elementy? — Te elementy są lewackie tylko z pozoru. W rzeczywistości są one prawicowe.

Po zakończeniu „rewolucji kulturalnej” hunwejbini, w swej masie, zostali skierowani do Sinciang. W „trójstronnym sojuszu”, na bazie

którego sformowano komitety rewolucyjne, zajmują oni jeszcze równorzędną pozycję z przedstawicielami armii i starymi kadrami robotników. Jednakże wojsko w nim 70 proc. miejsc, stare kadry robotników — 25 proc., a tylko 5 proc. miejsc przypada na tzw. przedstawicieli mas.

Zastępcą przewodniczącego szanghajskiego komitetu rewolucyjnego jest Czou Tsin-czen, były pisarz. Dość młody, o delikatnych rysach twarzy i kształtnych rękach, w „uniformie Mao”, doskonale skrojonym, powiedział nam z anielskim uśmiechem na ustach:

— Inteligentów i pracowników aparatu kierowniczego trzeba od czasu do czasu — bezwarunkowo kierować do pracy fizycznej i do przemywania mózgu, aby w ten sposób uwolnić ich od burzawczych zamuleń. Nie zawsze jest to przyjemne, niekiedy nawet bolesne, ale niezbędne. Wpływy burżuazyjne długo będą oddziaływać na grupy kierownicze. Dlatego potrzebne są nam jeszcze nie jedna i nie dwie „rewolucje kulturalne”. Po czym, wpadając w wesoły nastrój, dodał:

— Ja jestem najgorszy. I w ubiegłym roku i w tym nie pracowałem fizycznie. Jak pan wie, zawsze można wynaleźć pretekst, żeby się od czegoś uchylić.

Było jednak widoczne, że to uchylenie się od rzeczywistostania „proletariackiej linii Mao” nie bardzo go niepokoi.

W Uhanu udało mi się obejrzeć popisy akrobatów. Przekonałem się, iż upolitycznieniu podlega wszystko, nawet numery cyrkowe. Gwoździem wieczoru był akrobata, przedstawiający marynarza, który z diabelską wprost zręcznością, lecz bezskutecznie, starał się dostać na szczyt latarni morskiej, aby ją naprawić. Po wyczerpaniu wszystkich sposobów, wyciągnął z kieszeni czerwoną książeczkę przewodniczącego Mao i, nie posiadając się z radości, jednym skokiem dopiął celu.

Ktoregoś dnia, będąc w uniwersytecie pekińskim, dowiedziałem się, że czas nauki, trwający uprzednio pięć lat, skrócono obecnie do trzech lat. Człowiek odpowiedzialny za upowszechnianie idei przewodniczącego Mao na uniwersytecie mówi: „Przedtem, rektor Lu Pin, stawił na pierwszym planie wiadomości encyklopedyczne, przygotowując arystokratów nauki. Programy były przeciążone i obejmowały wiele niepotrzebnych elementów”. Obecnie dyscypliny teoretyczne ustępują czysto utylnym. Profesorowie i studenci przepytują się wzajemnie i egzaminują. Studia filozoficzne sprowadzono do nauczania idei Mao.

Czy jednak przewodniczący Mao, w drodze wyjątku, nie może kiedyś popełnić błędu? — spytałem znajomego Chińczyka. Uśmiechnął się i patrząc mi w oczy, odpowiedział: „To niemożliwe!”

Ten, kogo interesuje chińska ekonomika, zaraz na wstępie musi się zmierzyć z bezdenną statystyczną niedokładnością, wynikającą choćby tylko z tego powodu,

— Starcia były poważne? — Tak. Nawet pospolite ruszenie rozdzieliło się na dwa obozy.

— Czy użyto karabinów? — Nie tylko. I armat.

— Armat? — Tak, ale małego kalibru.

— Czy winne są temu lewackie elementy? — Te elementy są lewackie tylko z pozoru. W rzeczywistości są one prawicowe.

Po zakończeniu „rewolucji kulturalnej” hunwejbini, w swej masie, zostali skierowani do Sinciang. W „trójstronnym sojuszu”, na bazie

że do ekonomiki miesza się stale polityka. Pięciokilometrowej długości most w Nankinie na rzece Jangcy. Z megafonów, ustawionych na całej długości, grzmi artykuł wstępny z „Zenminzhi-pao”. Na moście cztery potężne wieże, ozdobione czerwonymi flagami.

— Widzi pan te flagi? — pyta mnie młodziutki student, pracujący w administracji mostu. — Rewizjonści — kontrrewolucjoniści chcieli je zniszczyć.

Rzecz w tym, że minister transportu kolejowego, przy poparciu wpływowych działaczy partyjnych, opowiedział się za budową bardziej skromnego mostu, z użyciem drewna i bez owych czterech kosztownych wież. W ten sposób chciał on również zniszczyć cztery czerwone flagi. Czy więc nie jest to dowodem, że zwolennicy ekonomicznej rentowności występowali w zasadzie przeciwko określonym celom politycznym? Ten argument pozwolił stronnikom Mao Tse-tunga rozpuścić w Nankinie „rewolucję kulturalną”.

Robotnicy, których w 1966 roku podburzono przeciwko „inżynierom-rewizjonistom” i „ministrowi-sprzedawczykowi”, rok później podnieśli szum, gdy nagle zmuszono ich do zwiększenia tempa. Później nastąpiło kilka miesięcy strajków i interwencja armii, co pociągnęło za sobą wiele ofiar.

Znajdujemy się w szanghajskich zakładach turbin i generatorów elektrycznych.

W 1950 roku pracowało tutaj 170 robotników, obecnie pracuje — 8 tysięcy, w tej liczbie 25 proc. kobiet. Idąc od hali do hali, przechodzimy od rękoźmielnicstwa do automatyzacji, od młota kowalskiego do nowoczesnej szlifarki. Opodal grupa kobiet maluje pedzłami błachę i ręcznie przykręca śruby. Trzykrotnie pytam przewodniczącego fabrycznego komitetu rewolucyjnego, szczerplego mężczyźnego, ostrzyżonego na jeża, czy działa tutaj jakaś organizacja związków zawodowych.

— Nie — odpowiada wreszcie. — Do chwili rewolucji kulturalnej związki znajdowały się pod wpływem rewizjonizmu. Kładły one nacisk na materialne zainteresowanie robotników. Stawiały potrzeby materialne ponad socjalistyczną edukację mas.

W fabryce włókienniczej nr 2 w Pekinie, jeden z gospodarzy objaśnia nam, że system premiowy został zniesiony „ponieważ fałszował sens pracy robotnika”. Któryś z zagranicznych gości spytał: „Czy robotnik może zażądać zmiany miejsca pracy?”. Odpowiedź: „Takich problemów nie ma. Jeżeli na przykład kucharz stołówki przygotowuje dobre posiłki, to jest to jego wkładem do wspólnej sprawy. A zatem powinien być dumny ze swojej pracy. Nie ma więc on żadnych podstaw do takiego żądania”.

Ekonomiczna strona ideologicznych zakłęb sprowadza się do tego, aby „produkcować tylko to, co jest najbardziej niezbędne oraz przewyższać chęci do kupowania rzeczy zbędnych”. Tylko jak to zrobić?



Cały świat jest dżunglą

Rys. Assen Croeseu

# MIĘDZY SERCEM A ROZUMEM

(Dalszy ciąg ze str. 1)

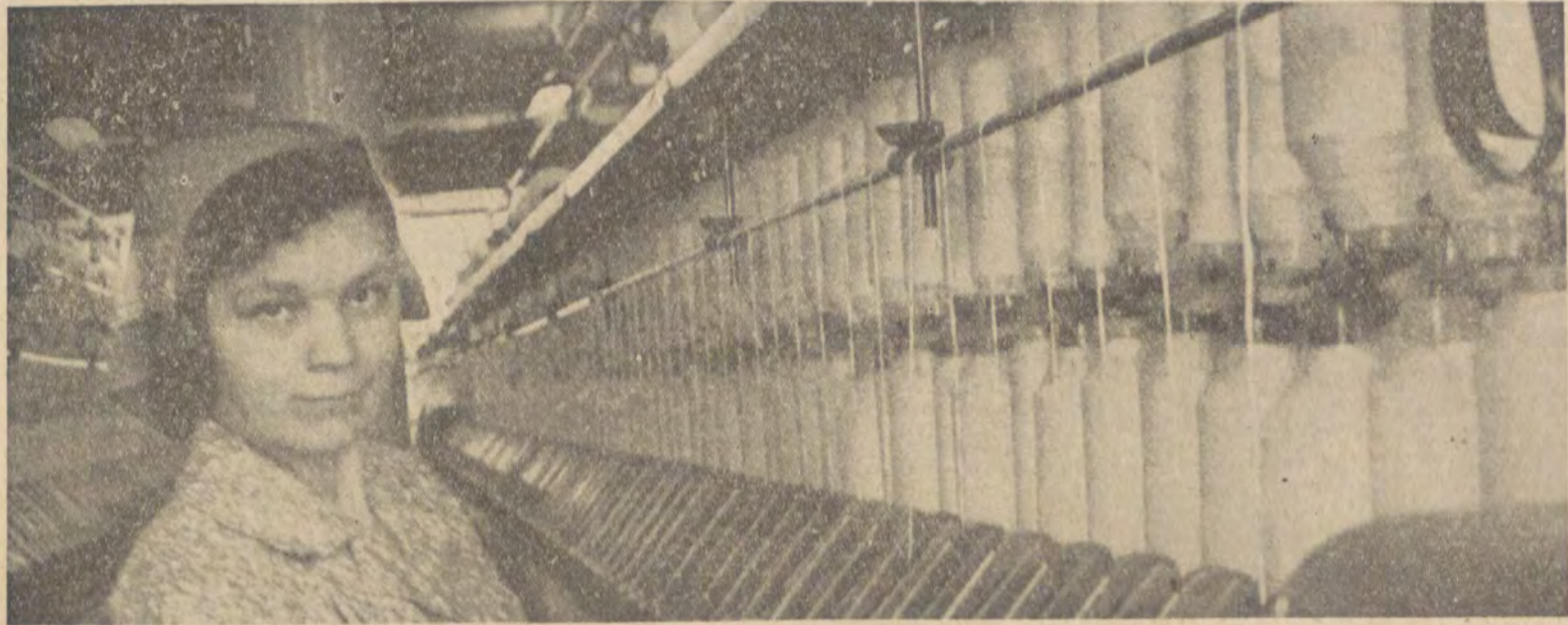
## Bilans na dziś

Jak sprawy wyglądają w Łodzi „na dziś” dobrze wiadomo. Podstawa wyjściowa to 4,5 proc. krajowej produkcji globalnej, która powstaje w przemyśle, no i ów charakterystyczny tylko dla tego miasta wskaźnik: tutaj, w Łodzi, wytwarza się aktualnie 23 proc. wszystkich wyrobów, jakie są wytwarzane w polskich fabrykach włókienniczych i odzieżowych.

Liczyby te nie mówią jednak wszystkiego, a nawet — zaryzykuję — nie uzasadniają potrzeby powstania takiego dokumentu, jakim jest **Raport**. Niezwykle bowiem znamienne cecha łódzkiego ośrodka przemysłowego jest nie tylko olbrzymia koncentracja przemysłu włókienniczego, ale równocześnie duży stopień jego zużycia. Siegam do **Raportu**. Stwierdza się tam m. in.:

„Przemysł łódzki przy swoim dużym potencjale charakteryzuje się wysokim stopniem zużycia środków trwałych (w roku 1969 ogółem w przemyśle ponad 50 proc., a w przemyśle włókienniczym 61 proc.). I kilka wierszy dalej: „znamienne cecha jest także wysoki udział zatrudnionych kobiet. Na około 412 tysięcy zatrudnionych w gospodarce społecznej, ogółem pracuje 49,6 proc. kobiet. W przemyśle skupiającym około 54 proc. ogółu zatrudnionych, 51,221 tys. osób, kobiety stanowią ponad 50 proc. przy czym w przemyśle włókienniczym udział ich przekracza 60 proc.”.

Trudno się więc dziwić, że rozglądając się dziś po „podwórku” łódzkiego przemysłu, jako na czynnik decydujący wskazuje się potrzebę zarówno modernizacji jak i rekonstrukcji, a także poprawę warunków socjalno-bytowych załóg, rozumiejąc to szeroko, nie tylko jako potrzebę budowy nowych umywalni, szatni, przychodni leczniczych, ale również konieczność zwiększenia dotychczasowych rozmiarów budownictwa mieszkaniowego oraz rozwoju wszelkich form usług ułatwiających życie, szczególnie rodzinom, w których kobieta jest zawodowo aktywna. Dodajmy w tym miejscu jeszcze jedną niezmierznie charakterystyczną dla



Fot. W. Parys

Łodzi i jej warunków gospodarczo-socjalnych liczbę: aktualnie, na każdy 1000 mieszkańców naszego miasta przypada 290 osób, które pracują w przemyśle. Jest to najwyższy wskaźnik w kraju!

Ktoś może, jednak w tym miejscu postawić pytanie: po co przytaczamy te socjologiczno-ekonomiczne fakty z naszego „dziś”, gdy „gra” jeśli chodzi o „jutro” musi zmierzać do znalezienia i posiadania odpowiednich środków finansowych oraz technicznych i prawidlowego ich wykorzystania.

Po prostu: wydaje się nam, że w ten sposób uzupełniłmy „łódzki obraz” o barwy, bez których trudno jest zrozumieć owe rzędy piętrzących się liczb i kwot: przeznaczenie dla Łodzi 34,5 miliarda złotych na inwestycje, które mają się zmaterializować m. in. w wybudowaniu przynajmniej 140 tys. nowych izb mieszkalnych, polepszeniu warunków socjalnych załóg — kosztem co najmniej 2,5 miliarda złotych, zrealizowaniu budowy wodociągu Sulejów — Łódź, no i oczywiście, rekonstrukcji bądź budowie od fundamentów wielu zakładów przemysłowych. I wszystko ma się to spełnić, musimy to wykonać w latach 1971—1975. Tak jest — w ciągu 1550 dni!

Wróćmy jednak do łódzkiego przemysłu, specjalnie przemysłu włókienniczego, bo on, jego przyszłe losy szczególnie nas interesują, przy czym jeszcze raz pozwolę sobie przypomnieć pewną tezę **Raportu**. Mówi ona, że Łódź pozostanie centrum przemysłu włókienniczego... W ślad za tym idą określone decyzje, jak choćby fakt przeznaczenia kwoty 14.352,4 mln złotych na inwestycje w łódzkim przemyśle lekkim na lata 1971—1975, co stanowi ponad 30 proc. ogólnych nakładów i środków inwestycyjnych, jakimi w tym okresie będzie dysponowało Ministerstwo Przemysłu Lekkiego. Dla jasności dodajmy, że z sumy tej 11.158 mln złotych pochłona inwestycje o charakterze produkcyjnym.

Dużo to czy mało? Dużo, również w wymiarze rzeczowym, bo te miliardy złotych to m. in. nowoczesny kombinat dzianin tkaninopodobnych, budowany łącznie z zakładem odzieżowym na Teofilowie, to Zakłady Dzia-wiarskie „Kalina”, przedziałnia czesankowej anilany „Polanil”, zakłady pasmanteryjne, nowy kombinat dziewiarski, fabryka dywanów, zakład produkcji włóknin, modernizacja wielu innych jednostek produkcyjnych i naukowo-badawczych, co pozwoli, jak się to mówi w fachowej „gwąrdze”, wygasić produkcję już do roku 1975 w szczególnie wysłużonych, bądź przestarzałych zakładach i stworzy warunki dla przekształcenia Łodzi z ośrodka wytwórczego w centrum produkcyjno-dyspozycyjne.

Są więc to kroki zgodne z historycznie ukształtowaną tradycją tego ośrodka, zgodne z obrazem Łodzi, który jak kalkomania przwarł do jej murów, dał jej rzekomo chluby przydomek „polskiego Manchesteru”. Notabene: dziś, w tym prawdziwym angielskim Manchesterze, w przemyśle włókienniczym, pracuje tylko 25 proc. liczyby zatrudnionych, z jaką mamy dziś do czynienia w Łodzi. Tendencja zmierzająca do rekonstrukcji, a może raczej — odbudowy łódzkiego przemysłu lekkiego, szczególnie włókienniczego, nie jest bynajmniej tylko koncepcją na rzecz pewnych sentymentów, których źródłem należy chyba szukać w czasach, kiedy to łódzkie perkalce stanowiły podstawę egzystencji bardzo dużej części białatnych kupców Europy-Azji. Czasy się jednak zmieniły, i choć dostrzegam duże szanse eksportowej ekspansji polskich wyrobów włókienniczych, bo — jak ktoś powiedział: łatwiej jest nam zrobić dobrą polską koszulę, niż tak samo dobry polski magnetofon, to jednak decydujące wydatki mi się wymogi i potrzeby krajowego rynku wewnętrznego, gdzie nadal występuje ostry niedostatek prawdziwie nowoczesnych, zdol-

nych konkurować z komisowymi, wyrobów przemysłu lekkiego. Warto przy tym pamiętać, że zwiększenie zamożności społeczeństwa, a np. Wytyczne na VI Zjazd PZPR przewidują wzrost plac realnych o 17—18 proc., nie-jako automatycznie kierują uwagę na takie właśnie towary konsumpcyjne jak odzież, obuwie, wyroby pończosznicze i dziewiarskie i one stanowią w tych warunkach przyszłościowy „języczek u wagi”... właśnie równowagi rynkowej. Miliardy, które zamierzamy zainwestować w przemysł lekki, muszą więc dobrze i szybko przynosić konkretne rezultaty produkcyjne i rynkowe, właśnie — społecznie odczuwalne w postaci odpowiednio zaopatrzonych sklepów. Gdzie te miliardy mogą tak właśnie „plonować”, jak nie w Łodzi, dysponującej kapitałem doświadczonej kadry, ludźmi, którzy niejako z tradycji rodzinnej wiedzą, co to jest dobry wyrób włókienniczy.

Dobry wyrób włókienniczy rodem z Łodzi, No, dobrze

ale jaki?

W pewnej publicznej dyskusji przedstawiciel łódzkiej Instancji partyjnej w konkluzji stwierdził: „Powiedzmy sobie szczerze, jaki przemysł chcemy mieć w Łodzi. Krótko: nie o takim profilu, nie taki jak do tej pory. Nie chcemy, by Łódź była centrum włókiennictwa ze względu na liczbę zatrudnionych. To nam nie imponuje. Chcemy być centrum myśli włókienniczej, nowoczesności, największej wydajności, produkowali wyroby, na które jest i będzie społeczne zapotrzebowanie”. Jeśli ta myśl jest absolutnie zgodna z ogólną tendencją **Raportu**, to już nieco inaczej ma się rzecz cała, gdy dochodzi do konfrontacji z pewnymi indywidualnymi, tu i ówdzie lansowanymi i uparczywie broniłymi poglądami właśnie na problem unowocześnienia łódzkiego przemysłu lekkiego, specjalnie włókienniczego. Stanowisko to da się sprowadzić do stwierdzenia: —

Rekonstruujemy łódzki przemysł włókienniczy? Tak! ale, w ogóle. **Odtwarzamy go.**

W praktyce — choć to może o-pinia dyskusyjna — znaczy to ob-dzielenie wszystkich istniejących już zakładów środkami inwestycyjnymi, właśnie odtworzenie, co w erze rewolucji naukowo-technicznej oznacza nie tylko rozpro-szenie środków, zamrożenie istniejącego stanu, ale relatywne cofnięcie się w rozwoju i to daleko. Kapitałnym więc pytaniem, na które koniecznie trzeba dać odpowiedź, gdy wytyczamy nowe kierunki rozwoju Łodzi, jest: jak-że ma to być **włókiennictwo?** Przy czym nie wystarczy powie-dzieć — nowoczesne, bo to w gruncie rzeczy nie nie znaczący truzim.

Znaleźć odpowiedź, to wyciągnąć właściwe wnioski z tego, co w tej dziedzinie dzieje się na świecie. Ano przyjrzyjmy się.

Według raportu dobrze poin-formowanej instytucji, jaką jest National Economic Development Office z Londynu, przyrost produkcji światowego przemysłu dziewiarskiego będzie oscylował w latach 1969—1972 w granicach 8 proc. rocznie, gdy dla przemysłu bawełnianego i wełnianego te same prognozy mówią o stagnacji, bądź niewielkim, bo odpowiednio 1,3 proc. i 0,7 proc. wzrostie. W takich krajach, jak Japonia, czy też NRF roczny wzrost produkcji dziewiarstwa — do roku 1967, bo takimi danymi dysponujemy — kształtował się na poziomie 20 i 16 procent! Prognozy długoterminowe mówią też, że produkcja wyrobów dziewiarskich w krajach rozwiniętych będzie do roku 1980 wzrastać o 6 proc., gdy wyrobów tkackich tylko o 2 proc. rocznie.

Jest to ogólna tendencja i mimo wszelkich sentymentów, nie na to nie poradzimy. Działają tutaj bowiem obiektywne prawa, a pod-staw których leżą tak oczywiste fakty, jak to, iż dzianiny więk-

Dalszy ciąg na str. 4

# Siedem przykazań ludzkich

(Dalszy ciąg ze str. 1)

Stosunki międzyludzkie, dobre czy złe, to nie tylko dobra czy zła wola; to również, a może przede wszystkim, poziom moralny i etyczny tych, którzy działają i organizują i tych, którzy swą pracą w tej działalności świadomie uczestniczą.

Istnieje określenie „etyka lekarska”, a przecież etyka pracy w ogóle, to radość płynąca z dobrej roboty, sprawiedliwie ocenianej, w życzliwej atmosferze wykonywanej.

Humanizacja pracy, obok jej modernizacji, to zagadnienie również nas obchodzące, mało — z naszej działalności się wywodzące. Musimy jednak zacząć najpierw od siebie.

W atmosferze odnowy olbrzymia szansa, którą Łódź otrzymała, zobowiązuje i otwiera szerokie perspektywy. Trzeba jednak modernizować nie tylko miasto i region, lecz również formy działania, które i w kulturze okazują się być przestarzałe. W związku z tym i baza kultury powinna być zmodernizowana. Wiele obiektów potrzebujemy, wiele obiektów nie spełnia z tych, czy innych względów, swego zadania.

W moim odczuciu najpilniejszą sprawą dla kultury łódzkiej jest koordynacja działalności wszystkich ośrodków dyspozycyjnych; wszystkich organizacji, związków, stowarzyszeń, placówek i instytucji. Zaprogramowanie działalności i kierunków rozwoju kultury miasta i województwa (w sprzężeniu na lata — powiedzmy — do 1980, to cel zasadniczy.

Nowy klimat i styl pracy, to przecież główny warunek odnowy. Kultura w swej organizacyjno-popularyzatorsko — upowszechnieniowej działalności nie może być uznana, jak dotychczas, za doskonałą, chociażby z tego względu, że modernizacja, to nie tylko zagadnienie ekonomiczno-polityczne. Zdając sobie sprawę z niedostatków — lepiej rozumiemy potrzeby.

Organa kultury w swej strukturze organizacyjnej służą — to jest przecież oczywiste, a może zabrzmi jak nowość — służą sztuce i twórczości. O tym należy pamiętać, bowiem odwrócenie sytuacji zakrawa na smutny żart rodem z prawa Parkinsona.

Wypracowanie prawidłowej struktury obiegu dóbr kultury oraz mechanizmów upowszechniania wartościowej sztuki i twórczości dla całego kraju, to problem do zaprogramowania na dziś.

Myśląc o centralizmie w zarządzaniu kulturą, winniśmy pamiętać o specyfice regionów, o ich potrzebach, tradycjach kulturowych, zasobach i kadrze. Zatem chodzi w zasadzie o jednolity model kultury, jedną a nie 19 polityk kulturalnych — słowem jednolitość dla kraju strategię z pozostawieniem taktyki poszczególnym regionom. W ramach na wyrost opracowanego wzorca struktury, funkcjonującej w oparciu o praw-

dziwe i chyba jednak naukowe badania, jest miejsce dla inicjatywy i aktywności zarówno etatowych pracowników kultury i sztuki, jak i dla sił społecznych, nieco poważniej i konsekwentniej traktowanych niż dotychczas.

Ponoć jesteśmy krajem dwóch kultur: elitarnej i masowej. Lukę między jedną a drugą wypełniają chałturszczyzy i szarlatani. Wypełnienie tej luki jest kwestią obchodzącą nie tylko prawdziwych artystów, lecz również prawdziwych działaczy kultury i organów kultury. Chodzi tu, jak mi się wydaje, o dobrą sztukę rozrywkową. W walce ze szmirą i kieczem mamy niezbyt czyste sumienie.

W zmodernizowanym modelu kultury, w powszechnej żywej formule estetycznej, winny również znaleźć niepoślednie miejsce prawidłowe i uczciwe mechanizmy ocen. Mechanizmy te dotyczą również polityki kadrowej. Służna ocena kadr i właściwy ich dobór jest podstawą nie tylko powodzenia wszelkich zamierzeń i akcji, jest również bardzo często kwestią osobistego zadowolenia, a nawet szczęścia pojedynczego człowieka. Człowiek nie na swoim miejscu nie tylko sam się męczy, ale męczy również innych, marnuje czas własny, a nade wszystko społeczny, wypacza się, kosztuje, staje się oportunistą i

asekuransem. Człowiek nie na swoim miejscu więcej przynosi szkody niż pożytku.

Z systemem ocen łączy się krytyka we wszystkich dziedzinach życia, a zatem i w sztuce.

Krytyka, działająca przeciw czemuś za komuś, jest krytyką złą. Krytyka nie powinna również działać przeciwko dziełu. Pomijam tu oczywiście sprawę kwalifikacji. Dotychczasowa obserwacja uczy, przynajmniej mnie, że kwalifikacje moralne w takiej dziedzinie nie jak krytyka, odgrywają olbrzymią rolę. Stworzenie klimatu dla właściwej funkcjonującej krytyki, to weryfikacja przede wszystkim kwalifikacji moralnych ludzi, parających się zawodem opiniodawców w sztuce. Trudno w tym miejscu wykażać straty (a można), które spowodował w naszej kulturze i sztuce odłam koteryjnej, klikerskiej, albo wręcz nieetycznej krytyki.

Artysta odpowiada przede wszystkim przed własnym sumieniem, krytyk też musi być wolny w swoich ocenach, jak sędzia czy laurka. Ale artysta złym dziełem sobie najbardziej szkodzi, a krytyk tendencyjnie złą oceną — komu? Wielu twórców, a także

Dalszy ciąg na str. 4

# MIĘDZY SERCEM A ROZUMEM

Dalszy ciąg ze str. 3

szają higieniczność ubioru, jego funkcjonalność, a poza tym — bagnetą — wydajność dziewiarskich agregatów jest kilkakrotnie wyższa od krosien.

Mamy zamykać oczy, nie dostrzegać tych faktów tylko z tego powodu, że Łódź wyrosła na „bawelnię“?

Zdaje sobie sprawę z całej złożoności i trudności dokonania takiego manewru. Dotyczy on — w przypadku tylko Łodzi — 50 tys. osób zatrudnionych w zakładach przemysłu bawelnianego. Rozumiem problemy społeczne, socjalne. Ale trzeba wybrać, bo stoimy w przypadku łódzkiego przemysłu włókienniczego, znowu na początku drogi. Raczej na skrzyżowaniu: którą wybiemy — autostradę czy... polny trakt?

I jeszcze jedna — mam wrażenie istotna — uwaga: według

przeprowadzonych badań, udział dziewiarstwa w ogólnej produkcji przemysłu włókienniczego powinien osiągnąć w roku 1975 około 30 proc. Polska, mimo wysokich nakładów na ten przemysł w latach 1971—1975, nie osiągnie tego wskaźnika. W roku 1970 wynosił on 11,7 proc., a w roku 1975 ma dojść do około 14 proc. Może więc potrzebny jest dodatkowy manewr? Również w Łodzi?

## Rachunek prawdopodobieństwa

Jeśli już naraziłem się tradycjonalistom, to będę brnął dalej. Można chyba z całą odpowiedzialnością stwierdzić, że zachowanie przemysłu łódzkiego w dotychczasowym jego kształcie, strukturze i profilu produkcyjnym, mimo najlepszych chęci i odpowiednich środków, nie rozwiąże bardzo trudnych problemów socjalnych, które narastały w tym

mieście od lat, również ze względu na masowe traktowanie potrzeb tej gałęzi wytwórczości w „minionym okresie“, do grudnia ubiegłego roku. Ten okres mamy, na szczęście, za sobą. Ale...

Właśnie — jest „ale“.

Bacnym obserwatorem przemian i koniunktur gospodarczych nie mogą umknąć uwadze takie fakty, jak choćby to, że tak rozwinięty kraj, jak NRF, prowadzi ostatnio niezwykle interesującą operację lokowania swoich zakładów przemysłu lekkiego w takich krajach, jak Portugalia czy Hiszpania, a w tę „lukę“ wprowadza u siebie przemysł elektroniczny, maszynowy, precyzyjny, elektromaszynowy. Mamy do czynienia z jeszcze innym charakterystycznym zjawiskiem: otóż kraje wysoko rozwinięte zwiększają import przędzy bawelnianej oraz tkanin z państw tzw. „trzeciego świata“, nie rozszerzając tych przemysłów tkaninowych u siebie. Równocześnie te same kraje „trzeciego świata“ rozbudowują swoje przemysły włókiennicze, z reguły opierając się na własnej bazie surowców naturalnych, których... my nie mamy. Dotyczy to np. Egiptu, Indii, Pakistanu, gdzie roczny przyrost produkcji przędzy bawelnianej i tkanin oscyluje w granicach od 3 do 35 procent! Co to w praktyce oznacza? Czyba także kurczenie się tradycyjnych rynków zbytu dla polskich tkanin mniej szlachetnych,

przy czym ten proces będzie się — można to przypuszczać — pogłębiał. Co więcej: potrzeba rozwoju i korzyści płynące z handlu z tymi krajami, gdzie eksportujemy nasze maszyny i urządzenia, też wymagają uwzględnienia w imporcie nie tylko surowca, lecz również półfabrykatów oraz innych wyrobów daleko przetworzonych. Dotyczy to m. in. tkanin.

Jaki stąd wniosek dla rodzącego się nowego — w świetle Raportu — łódzkiego centrum przemysłu lekkiego? Ze musi być ono rzeczywiście nowe.

W koncepcji, w myśli naukowo-technicznej, w strukturze przemysłu łódzkiego.

Na minionym plenum Komitetu Łódzkiego PZPR, gdy dyskutowano Raport, padły i takie wnioski, by łódzki ośrodek przemysłu lekkiego wesprzeć autentycznie znaczącym przemysłem maszynowym, elektrotechnicznym, chemicznym. Były to wtedy ośrodek, centrum, oparte na jednej „nodze“ — włókiennictwa, ale mający w swoim posiadaniu takie nośniki postępu technicznego, jak przemysł środków produkcji. A jest ku temu miejsce i pole do działania. Weźmy tylko budowę maszyn włókienniczych, szczególnie dziewiarskich, których „posucha“ daje się odczuć nie tylko u nas, ale we wszystkich krajach RWPG. A maszyny do włókien chemicznych, podzespoły elektroniczne dla włó-

kiennictwa, sprzęt elektrotechniczny?

Stąd też może kogoś, właśnie tradycjonalistów, zadziwił po lekturze Raportu fakt, że choć mówi on o Łodzi jako o centrum włókiennictwa, to chyba jednak daje jeszcze większe, a przynajmniej równe perspektywy przemysłowi maszynowemu. W roku 1975 nakłady inwestycyjne na ten przemysł osiągną w Łodzi kwotę 2.450 mln złotych, wzrastając w porównaniu do minionej 5-latkii o 65 proc.

I chyba nie ma innej drogi, jeśli nie chcemy, by stale spadała ranga naszego miasta na ekonomicznej mapie kraju, by nie malał udział wyrobów łódzkiego przemysłu w produkcji globalnej kraju, byśmy nie karleli i obrabiali w niepotrzebnie nikomu komplekсы, ale dynamicznie rozwijali Łódź we wszystkich dziedzinach. Sądzę też, że wiele problemów, związanych z prawdziwą, nowoczesnie rozumianą rekonstrukcją łódzkiego przemysłu włókienniczego, będzie wtedy łatwiej rozstrzygnąć. Nawet ów gordyjski węzeł „bawelny“. Bo łódzki robotnik i inżynier potrafią szyć zarówno dobre koszule, jak i produkować tak samo doskonale maszyny czy sprzęt elektryczny.

Choć — przynajmniej — wybór jest pozornie trudny. Jak zawsze, gdy w grę wchodzi serce i rozum.

KRZYSZTOF POGORZELEC

W związku z artykułem dyskusyjnym pt. „Strach i odwaga“, zamieszczamy dziś kolejny głos naszego Czytelnika, tym razem z Poznania.

„Odgłosy“ od wielu lat należą do mojej stałej pozycji prasowej. Z uwagą czytam wiele zawartych w tygodniku interesujących problemów. Z dużym zainteresowaniem przeczytałem zamieszczony w nr 35 (719) artykuł Zofii Tarnowskiej pt.: „Strach i odwaga“. Poruszony w tym artykule problem z uwagą na jego szczególne znaczenie zmobilizował mnie do napisania swojej wypowiedzi w tej bądź co bądź dojrzałej już społecznej kwestii jaką stało się zwykłe uliczne (i nie tylko) chuligaństwo. Zjawisko to jest niebezpieczne dla każdego obywatela z uwagą na zaskakujące, nieoczekiwane działania w różnych miejscach i sytuacjach. Grupy rozwijanych młodzieńców dokonują bez żadnego uzasadnionego powodu czynnej napaści przy wejściu do kina, w tramwaju, w pociągu, ba nawet w kawiarni czy restauracji. Problem dojrzewa zbyt długo i boleśnie, żeby można go było w niedalekiej przyszłości rozwiązać definitywnie i w skuteczny sposób. Część tej młodzieży, o której pisze pani Zofia Tarnowska za bardzo zbliżyła się już do marginesu społecznego, żeby można

ją było drogą zwykłej pracy pedagogicznej włączyć w nurt normalnego uczenia życia. Wiele atramentu wypisano już na temat przyczyn powstawania zjawiska. Są to jednak tylko teoretycznie rozpatrywane problemy, które same w sobie nie wpłyną w żaden sposób na wyeliminowanie z życia łobuzerstwa,

ZENON MATYSIAK

## Głos w dyskusji

stojącego zawsze na granicy bandytyzmu. Osobiście jestem zdania, że źródłem wszelkich odchyśleń od przyjętych norm jest niewłaściwe wychowanie w rodzinie, które ma fundamentalne znaczenie na dalsze postępowanie człowieka. Zostaje tu zachowany logiczny ciąg. Bo jeżeli w stosunku do ojca czy matki można się zachować niegrzecznie, odnosić wulgarnie, to można również postępować tak w stosunku do koleżanki szkolnej czy kolegi. Dalej to już tylko lawina następujących po sobie konsekwencji. Brak szacunku dla nauczycie-

la w szkole, konduktora w tramwaju czy kolei, przechodnia na ulicy, lub ewentualnie starszego i słabszego człowieka w ogóle. Następny etap to przyłączenie się do większej bandy i rozruchy już na skalę, nazywamy ją umownie „operacyjną“. Idą wtedy w ruch kioski, ławki z parku, krzesła w kinie i zaczepianie

bię. Co więcej nie stara się nawet zwrócić na siebie uwagi otoczenia. Mam wrażenie, że nikomu nie przeszkadzają wówczas ani raffe ani jego długie „i najczęściej brudne“ włosy. Bo przecież nie w ubiorze tkwi zagrożenie społecznego porządku i bezpieczeństwa a głównie w działalności zorganizowanej bandy. Każdy głos w dyskusji powinien zmierzać do sformułowania przyczyn zła a następnie decyzji i wniosków jego usunięcia. Jak powiedziałem wyżej, przyczyną są bardzo złożone i jest ich wiele, a zło istnieje oraz rozwija się w sposób dość intensywny. Pamiętając o źródłach zła nie możemy ani na chwilę zapominać o skutkach i zwalczać je już teraz w każdej chwili i wszędzie. Największą rolę powinna tu spełniać nasza MO i jej odwoły, które stanowi ORMO. Działalność milicji w tym zakresie, mówiąc najogólniej, można uznać za bardzo miłą. Wydaje się paradoksem, ale wina jest w tym także opinii publicznej. Widziałem interwencję patrolu MO pod kinem Ochota w Warszawie. W stosunku do grupy podpiętych łobuzów, którzy terroryzowali uprzednio całą poczekalnię a następnie czynnie przeciwstawili się interweniującemu funkcjonariuszom użyto pałek gumowych. Kiedy milicjanci wyprowa-

dzili ostatnich rozrabiaczy dały się słyszeć po rogach sali głosy: „milicja ludowa a bije jak przed wojną“ itp. Brak wyrobionej powszechnie opinii na temat zwalczania chuligaństwa pozwolił na to, że okrzyki te przeszły bez riposty ze strony publiczności. Opinię tę wyraża a przynajmniej powinna wyrażać przede wszystkim praca. Skuteczność głoszenia teorii wychowania każdego droga tylko dobrego słowa i perswazji zaszła tak daleko, że Organa Wy miaru Sprawiedliwości jak gdyby wstydziły się karać, i to karać recydywistów w surowo. Przecież źródło strachu pokrzywdzonych, nie raz bitych i obrabowanych leży w tym, że bandziór, łobuz czy chuligan wyjdzie za rok czy dwa z więzienia i wtedy „odegra się“ a więc lepiej takiemu nie narażać się. Tego rodzaju wypowiedzi przekonały o jednym, że zakład penitencjarny, przynajmniej w tym wydaniu, w stosunku do tych ludzi nie spełnia zadania. A karani?

Karani śmieją się wszystkim prosto w twarz, bo to przecież oni sformułowali powiedzenie w sensie rok — nie wyrok, ale wydaje mi się, że rok ciężkiej, solidnej, pod nadzorem przymusu pracy to już jednak wyrok. Wychowanie przez pracę

należy do jednej z bardziej skutecznych form wychowawczych o czym niestety zbyt często zapominamy. Nie negując konieczności prowadzenia intensywnej pracy wychowawczej w stosunku do młodych ludzi z marginesu społecznego, jak i tych którzy do tego marginesu nieuchronnie zbliżają się, trzeba także pamiętać, że w parze z wychowaniem musi iść bezwzględnie dla niepoprawnych surowa sankcja. Samo działanie wychowawcze będzie jak jedno ramie, nawet potężne ofensywy, która może mieć sukcesy, ale która nieuchronnie zawiśnie w próżni operacyjnej i osiągnięte przez nią rezultaty będzie można łatwo stracić. Pamiętając o jednym nie można nawet przez chwilę tracić z pola widzenia drugiego. Mam wrażenie, że tak będzie w przyszłości, bo społeczeństwo musi w końcu przedsięwziąć skuteczne środki zaradcze, a dziś...

Dziś nawet autor powyższego stara się omijać kioski z piwem, nie chodzić wieczorem przez park. Jeżeli już jednak trzeba samotnie czy nawet z najbliższą rodziną przemierzać drogi, to na podłodze w aucie leży obciążone gumą stalowe ramie od podnośnika. Nie można pozwolić dać się pierwszemu uderzyć, bo ze sprawiedliwością to jeszcze różnie bywa.

# Siedem przykazań ludzkich

Dalszy ciąg ze str. 3

odbiorcom, lecz nade wszystko teraźniejszości i przyszłości kultury polskiej.

Nieprecyzyjne mechanizmy oceny ocen, czyli brak odpowiedzialności społecznej za produkt — któż dziś wie, jakiej wartości — za sztukę, to luksus, na który już dziś nie możemy sobie pozwolić. Miary i sposoby ocen dla twórczości, a więc wypracowanie kryteriów w tym względzie, należą do twórców, krytyków i teoretyków. Wszyscy wymienieni, wiem, zdają sobie dziś z tego sprawy.

„Dzielo musi być artystycznie wybitne, by mogło być uznane za wartościowe pod względem ideowym, społecznym, ponieważ takie dzieło stanowi nową, ważną wypowiedź o ważnych sprawach i oddziałuje na odbiorców, wzbogaca doświadczenia ludzkie, rozszerza horyzonty kultury“ — powiedział Józef Tejcma.

Jakże inaczej to zdanie naświetla problem dzieła, jakże się różni od teorii i praktyk, które preferowały wszystko, co legitymowało się tanią afirmacją i lichą fasadowością.

Nieporozumienia sięgały głębiej: równocześnie z pewnym odłamem klakierów w krytyce nieźle prosperowały grupy i grupki wielbicielii tandety, utrefionej gustami i guścikami wyrobionymi na snobizmach z trzeciej ręki. Te ugrupowania dochodziły nieraz do głosu: i też formowały. Zamęt rósł znakomicie. Nic dziwnego więc, że przeciętny czytelnik, odbiorca sztuki, a nawet działacz kultury niewiele rozumieł z tej kosztownej zabawy. Nic dziwnego, że nieraz do sukcesu, nie umniejszając artystom, którzy go osiągnęli, bywał wypadkową rozgrywek nie o principia sztuki, ale jej subiektywne marginesy. Jeżeli w okresie ubiegłym tyle ostało się, oparło tym siłom

sprzecznym i niezbyt czystym, to jest w tym zasługa tej grupy krytyków, działaczy i artsetów, którzy rozumieli, że kształt naszej sztuki — twórczości — kultury zależy od nas samych, a za wszystko odpowiadamy przed współczesnymi i przed historią.

Proszę mi wybaczyć ten patetyczny zwrot, ale tak to chyba wygląda.

## III.

Pozostaje jeszcze zagadnienie praktyczne, które wydaje się bardzo ważne. Była mowa o programach, strukturach, mechanizmach i formułach, a więc o całym systemie organizującym założenia i dopełniającym ramowe wytyczne odnośnie kultury.

„Nowy klimat nie jest programem dla kultury, jest tylko warunkiem jej rozwoju, jest czynnikiem wyzwalającym nowe inicjatywy“.

Zatem próbujmy, każdy po swojemu, wypełnić ten klimat swoją inicjatywą, swoją treścią. W tym względzie każdy z nas umyśla sobie te programy, formuły dla siebie i swojej codziennej pracy. Boć przecie myślenie stało się powszechnym dobrem i obowiązkiem i nikt nie śmie mu stawiać tamy, i z tym umyśleniem pasuje się każdy w sobie i prze-

ciwko sobie, swoim nawykom i niekiedy zaskorupieniu.

Dlaczego jednak powtarzamy prawdy już oczywiste? Po pierwsze żeby je sobie lepiej uzmysłować, po drugie — że niepokoją nas zbyt wolno tu i ówdzie ustępujące oznaki biurokratyzmu, bezduśności i fasadowości — słowem, trwania wbrew odnowie w dawnych nawykach. Nowy styl pracy to humanizm pracy. Widzenie spraw z człowiekiem a nie bez człowieka.

Prawdy oczywiste powtarzamy już dość długo. Teraz jednak zdajemy sobie sprawę, że nie chodzi tu tylko o powtarzanie. Na przykład problem upowszechniania sztuki. Przyjrzyjmy się domom kultury, klubom, bibliotekom itp., co tam się upowszechnia? Są również chwalebne wyjątki, znam takie, ale o tym innym razem. Większość jednak poddała się prawu inercji, wynikającemu z braku rozeznania. Nie było bowiem ani formuły, ani modelu, na którym mógłby się oprzeć pracownik kultury w praktyce. Słowa takie: „Najwartościowsza sztuka i twórczość“ nie nie znaczący ani w kontekście informacyjno-instrukcyjnym, ani w świetle komunikacji masowych środków przekazu. Najwięcej opieki udzielało się gatunkom, które jej najmniej potrzebowały, bowiem wyrosły i

wyrastały ze spontanicznego, żywotowego ruchu. „Duch epoki“ przejawiający się w zespołach, zespólkach, zespółkach muzycznych, tanecznych, wokalnych, ten duch jest niezmożony, a na środki, którymi je szczerze obdarzano, nie wszystkie, delikatnie mówiąc, zasługują.

Rzecz w tym, że prócz śpiewu, gdy ma się słuch i głos, prócz muzykowania, które mając swoje (często tylko domowe) uroki, prócz idei oddziaływania młodzieży od nudy i frustracji, istnieją jeszcze inne formy edukacji. Wydaje się, że instytucje kultury dość chętnie przystały na taki stan rzeczy. By to i beztrasko, i wesolo i zarobić sobie mogli różni ludzie przy okazji. Natomiast upowszechnianie sztuki we właściwym tego słowa znaczeniu wymaga wysiłku. Upowszechnianie bowiem to także objaśnianie, komentowanie i propagowanie. Taka działalność, prócz aktywności, wymaga również edukacji, czy edukacji działającego. Upowszechnianie muzyki poważnej, malarstwa, literatury i teatru, a zatem sztuk, których odbiór wymaga pewnego przygotowania (niestety, w szkołach nie poświęca się zbyt wiele czasu współczesnej sztuce) tym nie zaprzatano sobie zbytnio głowy.

Ubiegłe lata nie sprzyjały rów-



**R**OGAŁ siedział na ławeczce pod wielką tablicą z rozkładem jazdy i śmiał skwierczącego w łufce peta. Obok przemykali ludzie z walcami, tobotami; w kasach na przeciwko tleniona kasjerka użerała się z zalanym strycharzem, który chciał za dychę pojechać do Kutna.

Na wysokich schodach pojawił się milicjant. Rogal wstał i przeszedł do kasy, udając oczekiwanie w kolejce. Mało mu si być widzianym, bo dzisiejsza noc przejdzie mu na dworcu. Niewygodnie, ale zawsze wśród ludzi... Oczywiście lepiej lec na wyrku w izbie na poddaszu, to tam gdzie krańcówka 19, ale córka ma już dzisiaj zamówionych czterech klientów... Nie, nie wygnana go na zbity pysk; wyprosiła aby; dobra jest dziewczyna, czasem weźmie coś z renty ojca, ale jeść da, nie można narzekać; na fajki też da, tylko na piwko nie chce grosza popuścić.

Rogal przeszedł na przystanek tramwajowy. Teraz trzeba uważać. Bo gęstnieje mrok i nad dworcem zapłonęły ślepia lamp rzeźbiarskich. Zaraz zaczną ci „z góry” przeczesywać teren... Patrzył z żalem, jak Krzywy Zwika na czole kolejącej się chwilejnie watahy retkińskich bimabajłów, którzy z Kaliskiego chęlnie sobie zrobili, piwną i karcianą przystań wjechał w cień zielony za nasypami. Poszłoby się z nim na chatę, popatrzyło choćby na ostre strzelanie w pokierka... Bo forszę to Zwika jeszcze ma, tylko że w dwu kioskach „Warsa” zaplenił się babski zaczer, czyli piwo ciemne, od którego Zwika mdlił. A na trzeci peron nie pójdzie, bo za duży obciach, no i w tym „Warsie” na kółkach leci jasne butelkowe po czwórce. Za drogi interes...

Dopełniał się wieczór, syki pary darły powietrze i skrzyptały megafony. Przez tę noc miało się przetożyć kilkadziesiąt pociągów. Setki pasażerów wsiadzie i wysiadzie. Rogal wchodził z nim w nocne życie dworca.

Ala nie za dobrze, bo w dworcowym korytarzu luda nie za wiele. Pani w maxi z czerwonego skayu puszcza na po-

RYSZARD BINKOWSKI

## Cicha noc, spokojna

sadzkę mini-pieska. Pocięta ta psina wzbudza podziw pasażerów. Lśniącym pyszczkiem trąca w kapeć Rogala. Nagle psina się wygięła, spaskudziła posadzkę. Pani w maxi się sponiła Rogal rzucił się na pomoc z gazetą. Ale wcześniej wezwana babcia kłozetowa usunęła spaskudzenie. Rogal pomógł pani w maxi owinać psiaka w gazetę i wynieść na skwerek. Piątka, czyli rybak wleciał mu do kiejdy. Na sporty...

Z restauracji zaczęli się wytycać zbudowani goście. Biorąc drepczące solowo, parami pasażerki bez obstawy za dziewczynny latarniowe, ostre styki zalotne uskutecznił.

He, he, he, trząst się Rogal bezgłośnie, źle trafiają, bo nie znają roboty tych „z góry”. Komisariat Kolejowy już dawno latarniowy z Kaliskiego wysiadał. Toż nawet taksjarsze, ludzie wiele grymasni, którzy dziwnie tworzą kolejkę, że nie wiada, do którego przystąpić; którzy na żądanie na Pietrynie nie rusza, bo na taki kurs, panie, możesz se pan hulajnogą zainwanąć lub na nożnej dwójce — nawet oni mają pietra i nocnej panienki nie podzrucą do dworca na gościny występ. A jak już się odważa, to wyrzucą pasażerkę pod mostem. Bo wysoko nad dworcem posterunek MO, stamtąd wszystko widać. Nocna zmiana z tego posterunku wkrótce wkróczy do akcji...

Raz, przypomniał sobie Rogal, jego córkę przyskrzynili pod dworcem. Nie jechała na „robotę”, nie, tylko facetowi

pić się chciało... Krzyki, szarpanina taka. A przecież jego Zanet to porządna dziewczyna. Włos w kasztanie, czysta, ładnie ubrana, „Kartę zdrowia” też ma w porządku. Ale Zanet jest dobra. Kiedyś nawet zielone i marki przynosiła, a teraz bije czterdziestka, więc już koło „Grandki” nie chodzi. Wszędzie młode się pchają...

Kędzierzawy facet stał przy taksówce i ostro rzucał mięsem. Bo go taksjarsz nie chciał zabrać na kredyt. A on kazał się z Fornalskiej przewieźć innemu na Kaliski tylko po fajki. Dał brudasą i poszedł. Tamten zwał. Nie, numeru nie pamięta, ale pozna po gębę!

Poszedł śledzić taksjarsza na zapleczu dworca.

Za niecałą godzinę prowadzili go młody kapral z ormowcem Kędzierzawy był napity. Podrywał młodą kolejarzkę, która pracowała na ważnym posterunku. O wypadek nietrudno.

Rogal trochę się przycał, kiedy ujrzał władzę. Ale nie zwrócił na niego uwagi. Starszy gość, spodzień odprasowany, czysta bluzka z popeliny. Zanet dba o reprezentację... I nie znają go ci młodzi za bardzo. Rzadko bywa. Częściej u kumpla rencisty spędza noc. Ale dziś noc taka ciepła, to tutaj też można... Po co nadużywać gościnności, nie?...

Już minęła 22. Pracowała restauracja na sodówce i zimnych zakąskach, otwarto też kłozet. Wielu ludzi spało na ławkach. To ten młody kapral z ormowcem chodzili i ich grzecznie budzili. Ostrzegali przed kradzieżą, wskazywali pociągi na peronie, godzinę odjazdu. Przewoźci budzeni winni być im wdzięczni. Nie wszyscy. Poniektórzy wyjeżdżali z gębą, jeden nawet zrobił zamach szerokachnym cepem... Rogal napiął się, zastygł... Ale nie było... Przypomniało mu się, jak kiedyś drobny, w szarym ubranku gość zaczął budzić dwóch leżących na ławce bykasów. Skoczyli z piachami, i ani się kto spostrzegł, jak leżeli na ziemi. Jednemu to aż się kapcie wbiły pod podkład, potem trzeba było odkręcać, żeby mu kulasy wyciągnąć. Bo ten drobny facet to był „świety”. Przez pół roku gadał na Retkini o tym zdarzeniu...

Od północy wjechał pociąg, dworzec zawrzał ulem. Zagraniczna turystka, która odwiedzała krewnych w Łodzi, niosła sporą walizę. Podskoczył młody człowiek w jasnym gangu, z okiem przymglonym. Wyrwał walizę. Obok stał bagażowy i jemu turystka chciała oddać bagaż. Była przestraszona. Wtedy młody w jasnym gangu wrzasnął do przechodzącego kaprala MO:

— Stary, poniósłbyś, bo się dama mężczy!

Młody okazał się magistrzem pracującym w wieziennictwie. Wydaje się takim, pomyślał Rogal, że każdy milicjant to kumpel po fachu. Straszny taki turystów, gra chamskie zagrywy, mogą sobie pomyśleć, że u nas już wszyscy tacy. Dostyc wstydłu przynosiła Pryszczata Julka, co za duże piwo lub za bulkę z serem wyciągała facetów za nasyp, a raz to ją nawet w męskim kiblu przydybano. Lump taki, nie to co Zanet...

— Do waszego dyrektora pójde i zrobię porządek — darł się jeszcze magistr.

— U nas nie ma dyrektorów — powiedział kapral.

— Może być kierownik — syknął cicho, z szyderstwem.

Dziwni ludzie, dziwne sprawy toczą życie nocnego dworca...

W bufecie III kat. siedział świnioblon Manson, rodzimego chowu. Strasz-

ny kudłacz, małolat z krzyżem na dece i z mieczykiem u boku. Ciągnął skrycie zakrapianą herbatkę z kieszonkowej butelki. Bunt w nim wielki, zwał wapniakom z chaty, bo mu chcieli zrobić postrzyżyny wobec całej kamienicy.

I wrócił do domu na te postrzyżyny! Przy pomocy MO...

Rogal usiadł w bufecie przy starszej pani. Obok kimał mały, drobny chłopczyk. Starsza pani wyszła, nie wracała, chłopczyk nadal spał wół leżąc na stole. Rogal chciał go pogłaskać po jasnych włosach. Zrobiło mu się tak międko w środku, bo ten mały był podobny do wnuczka, synka Zanet, który na wsi wielońskiej mieszka u ciotki, żeby nie pa-trzeć na robotę mamy...

Odsunął się Rogal, bo kapral „zdejmo-wał” chłopaka. Był głodny, brudny i ziewał szeroko. Szczupła buzia, ładne brzo-we oczy. Miał dziewięć lat i chodził do I klasy szkoły specjalnej w Pabianicach. Mama wciąż na tkalni, a tata dozorca. Wyciągnął synkowi dwie stowy ze skar-bonki i przedudził w „mordowni” na ulicy Warszawskiej. To synek wziął tacie kozik w niklowej oprawce, który prze-handryczył za dwójkę. Ojciec sprzął go mocno, więc zasunął matce pięć złotych i przyjechał na dworzec. Chciałby mieć takiego tatę, jak ten młody ormowiec, który z nim rozmawiał. I cieszył się, gdy odjeżdżał do Izby Dziecka, bo tam dobre spanie, jedzenie...

Pięć się Rogalowi zachciało, więc poszedł do „Warsa” na herbatę. Bo piwa nie było. Ale zaraz wymknął się stamtąd, gdyż dwóch starszych przyków wzięło się do mordobicia. Jeden taksjarsz zalany, a drugi „pan wie, kim ja jestem?” rzucał legitymacją. Ten drugi to nie chciał wracać do domu, bo już o godz. 2 w nocy wybierał się na 5 rano do pracy!... Dworzec jest dla ludzi, krzyczał, więc nikt nie ma prawa...

Dla podróżnych, proszę pana. Dla ich spokoju, odpoczynku w drodze. Dla Rogala też, bo gdzie miał iść, nie?... Ale nie dla takich, jak ta piękna wrocławianka, która bez biletu, dowodu, na legitymację ubezpieczeniową przyjechała do Łodzi...

Tej nocy było ponad dwadzieścia in-terwencji. Pięciu typów ukarano kolegium. A więc raczej spokój, bo gdy przyjdzie wyplata, LKS gra mecz lub młodź idzie do woja, to dopiero tutaj popeliny odchodzą! Ale trzeba przynają, myśli Rogal, który sporo drogi przemierzył koleją, poszukując Zanet, kiedy zwiała z ogólniaka, że Kaliski jest chyba najspokojniejszym dworcem w kraju. Ostro chodzi tu milicja, czujnie penetruje.

— O godz. 4 rano spały bufetowe w kioskach „Warsa”. Rogal już odchodził. Zanet będzie spać. W obu izbach woń tytoniu, perfum, potu, gorzality... Ale lósko wygodne... I można też coś przetrząść, bo trochę zostanie z zabawy. A jak Zanet będzie przy humorze, po dobrym zarobku, to znów zaczną gadać o wyjeździe na wieś. Może kiedyś pojedzie?...

Minął się z Krzywym Zwiką, który wyszedł z tunelu pod mostem. Zwika dreptał chyłkiem, pod ścianą i dyskretnie przywoływał kumpia z watahy. Ale ten szedł opornie, choć miał suszę w pysku, gdyż szef ogolił go z forsy na nocnym pokerku. Piwka jeszcze nie było, więc się wycofał, aby szukać szczęścia u „Dziada” za mostem.

Świt jaśniał nad dworcem, ładowano poczęt, w ptasi trój idący od parku wpadły dzwoniaki pierwszych tramwajów. Na przystankach pojawili się ludzie śpieszący do pracy.

niez ani integracji środowisk twórczych, ani zbliżeniem działaczy ze środowiskami. Przeciwnie, nawiązywały się uprzedzenia. Brak kryteriów ocen (o czym wspominałem) dezorientował działaczy, brak tych samych kryteriów rozdrążniał twórców, chociaż nie zawsze i nie wszyscy zdawali sobie z tego sprawę.

Nikt nie powiedział jasno i wyraźnie, że w mieście prawie 800-tysięcznym oraz w regionie, upowszechnianie sztuki i żyjących twórców w tym mieście jest sprawą naturalną i żywotną dla rozwoju kultury, a także dla artystów, chociaż by prywatnie czy profesjonalne oceny tej sztuki nie były zgodne, albo też nader pozytywne. Bowiern wartość dzieł twórców czy nawet całych środowisk nie jest wartością stałą. Czas i kryteria, a zatem rozwój, zmieniają te wartości. Wartość sama w sobie wymaga co najmniej zabiegów zachowawczych. Istnieje także coś, co napawa niepokojem. Kadra pracowników i oziataczy kultury ma w swoich szeregach spora ilość ludzi z wyższym, a nawet specjalistycznym wykształceniem. Wielu z nich w ogóle nie orientuje się w tym, co dzieje się we współczesnej sztuce i twórczości, także lódzkiej. Pochłania ich działalność instruktażowa, szkoleniowa, a nade wszystko admini-

stracyjna i sprawozdawcza. Wszystko to dotyczy raczej nie upowszechniania sztuki, a upowszechniania form upowszechniania — o których uprzednio była mowa. Jest pilna potrzeba zaprogramowania hierarchii potrzeb w upowszechnianiu, w oparciu o współczesny model kultury i strukturę organizacji kultury, która jest w opracowaniu. Wartościom, które się trudniej przebijają, wolniej wchodzi do obiegu społecznego, trzeba pomóc. Bo czemuż służy aparat upowszechniania? Podobnie rzecz ma się ze środkami masowej informacji. Czas jest sposobny, żeby i to zagadnienie przedyskutować środowiskowo.

Coraz głośniejsz mówi się ostatnio o potrzebie przeprowadzenia badań naukowych, zapewne głównie socjologicznych i psychologicznych, zmierzających do „rozpoznania” masowego „odbiorcy” sztuki. Czy już wszczeto badania? Wyobrażam sobie, jak różnych metod i kierunków penetracji trzeba użyć w odpowiedzi na zasadnicze pytanie: co to jest masowy odbiorca? Okazuje się, że nie bardzo wiemy, chociaż tak chętnie wszyscy odwołują się do jego wszechpotęgi.

Czy to każdy, kto umie czytać, czy jeszcze i ci, których trzeba tego nauczyć? Czy to każdy, kto

ma obraz w domu, czy także i ci, którzy mogą go obejrzeć? Czy to każdy, kto ma słuch, czy także ci, którzy mają uszy? I tak dalej i tak dalej. Nie ulega wątpliwości, że „wzrost wykształcenia wzmacnia dążenie do współuczestniczenia” — także, jak sądzę w sztuce i twórczości. Jeżeli już ustalili się, co to jest masowy odbiorca, trzeba będzie rozemnać się w jego gustach, pewnie wyciągnąć średnia gustów, bo i jak inaczej? Rozpiętość jest więc duża.

Srednia jak srednia, różnie z nią bywa. Trzeba również zadbać o jego (odbiorcy) przyszłość. Przecież on się rozwija i będzie rozwijał. A jak się rozwija? Właśnie. Przez szkołę, przez uczelnię, przez kursy, przez kluby, domy kultury, stowarzyszenia, biblioteki, prasę, radio, telewizję, teatr, książkę, muzea, wystawy, kontakty. Słowem przez cały zespół dostępnych mu środowiskowo i społecznie przekazów, na które przecież polityka oświatowa i kulturalna posiada wpływ.

Rzecz w tym, żeby ta polityka była oparta na żywej i otwartej formule kulturalnej, żeby nie sądzono nadal, że szewe lubi tylko powieści o kopcie, a idea przyszłości dla masowego czytelnika jest „Ordynat Michorowski” Mniszkówny. Rzecz w tym, żeby organa kultury koordynowały dzia-

łalność swoich placówek, ukierunkowały ich generalia z myślą o źródłach, które tę kulturę tworzą.

#### IV.

Słów kilka o charakterze zbliżonym do wniosków. „Wiedza powszechna” o przydatności dla Łodzi, jej znaczenia i rozwoju, kilku realizacji, nie pozbawia możliwości wnioskowania: mamy wytwórnie filmowe, a nie mamy zespołu realizatorów. Dziwne? Oczywiście i nie ma co uzasadniać tej potrzeby szczególnie lodzianom;

mamy środowiska twórcze i naukowe, a nie mamy periodyku o charakterze ogólnopolskim. Dziwne? Jest nadzieja, że trzeba będzie uzasadniać, ale ze skutkiem pozytywnym; jest potrzeba przedyskutowania i usprawnienia imprez o charakterze międzynarodowym i ogólnopolskim, a których posiadanie daje wyjątkową i oczywistą szansę miastu;

jest potrzeba kooperowania z władzami województwa, w zakresie tych imprez i problemów kulturowych, które będąc wspólnym dobrem, zyskają na tym.

Integracja, to pojęcie bardzo wszechstronne, integracja to koegzystencja, korelacja, kooperacja, konsultacja, komunikacja (w zna-

czeniu informacyjno-obiegowym), konsolidacja i kolegialność w kontekście zbiorowego działania, w oparciu o koncepcję i konsekwencje.

Integracji nie da się wytworzyć sztucznie. Działanie wszystkich środowisk twórczych a także naukowych, jest możliwe, gdy łączą je wspólny cel, wspólne i długofalowe akcje. Niektóre z nich narzuciły się w formie już sygnalizowanych kontynuacji, niektóre w formie wniosków czy propozycji.

Proszę wniosków czy propozycji, proszę się na „ko” mają tyko znaczenie pozytywne. Ty-leż co najmniej słów na „ko” przeszkadza w pracy: kolizje, koterie, koneksje, korupcje, konkurencje, konszachty itp.

Ala nie o słowa tu chodzi, trzeba jeszcze raz powtórzyć, choć słowa organizują wyobraźnię, apelują do naszych uczuć i rozum, albo usypiają czy drażnią szampa. Są słowa przywołujące złe znaczenia i złe wspomnienia. Słowa są odbiciem stylu myślenia i stylu pracy — i nie chodzi tu tylko o słowa piękne. Praca nadaje rytm myśleniu, myślenie — słowom, i puste są one bez przeżycia w pracy.

Dobrze, gdy praca nie przeczy słowom, a słowa pracy.

ROMAN ŁOPODA  
(Artykuł napisany 29. IX. 1971 roku)

EUGENIUSZ IWANICKI

## Gdybym pisał księgę wspomnień...

Fragment większej całości

Kiedy skończyła się wojna, miałem dwanaście lat. Przyjechałem do kraju ze stepów północnego Kazachstanu, gdzie w upalne lata ptaki padały rażone gorącym, gdzie w czasie zim śnieg przysypywał domy i najwyższe drzewa. Mógłbym napisać księgę wspomnień, podobną do egzotycznych opowieści, gdzie przeczytałabyś o polowaniach na wilki, a polowach sumów — olbrzymów o skórze oplekanej się wszystkim nożem, siekierom i pilom, skąd dowiedziałaś się o gigantycznych pożarach stepów, od których nagrzewa się nieruchome powietrze i wieczorami żarzy się niby luna znad tysięcy otwartych piecy hutniczych.

Tak, mógłbym napisać taką księgę wspomnień. Lecz kto dziś pamięta tamte czasy i tamtego chłopca? Na pewno odeszły do Proroka stare Kazaczki, które uczyły mnie rozpoznawać ziola, odeszli także Kazachy, od których przejąłem sztukę plectenia przemysłowych koszy służących do polowów płoci z największych jezior. Nie ma już Abdula Kierebejewa, najstarszego z koczowników, przyjaciela zwierząt i ludzi, który w gorącym stepie uczył mnie trudnej i kunsztownej sztuki jazdy konnej na małych, kosmatych konikach.

Kiedy zastanowiłem się nad owymi trudnymi latami, powraca niezmienne tęsknota za przeszłością, za ogniskami, za długimi nocy opowieściami, za monotonnymi śpiewami, które godzinami ciągnęły pasterze owiec, oraz zjawiające się pragnienie powrotu do tych snów niezmiernych stepów, nie znających intrygi, zawzięci i kłamstwa.

Wiec taka księga wspomnień byłaby na pewno zbiorem nie-dojrzałych doświadczeń, przegrod, starzych legend i prawd, które w moim dzisiejszym świecie zostały zastąpione przez obłudę. Możesz śmiać się z tego Annemarie, lecz młodość spędziłem wśród surowej przyrody, wśród ludzi odważnych i łatwowiernych, dla których sto-

wo przyjaciel było najświętszym, najwyższym zawołaniem.

Opowiem ci teraz zdarzenie, o którym nikt już dziś nie pamięta, gdyż jestem zapewne jedynym świadkiem, który dożył lat siedemdziesiątych, i który dzięki zbiegowi okoliczności przypomniał nagle o dramacie z roku czterdziestego trzeciego.

Miałem wówczas dziesięć lat, Wyszedłszy o białym świecie z jurty poprowadziłem stepowe iszaki do wodopoju. Iszym, posępna, syberyjska rzeka, płynęła majestajcznie i szeroko. Znałem już wszystkie brody od Ilinki do Jawlenki i mogłem po ciemku przeprowadzić każdą karawanę wiozącą zboże do Pietropawłowska. Konie pogałem do brodu pod Karatalem, gdzie pomimo silnego nurtu woda sięgała zaledwie do kolan stepowym konikom. Na lewo i na prawo wznosiły się strome brzegi zryte przez czarne, zwinnie psaki, wijące gniazda w głębokich pieczarach. Konik piły wodę, a ja pojechałem brodem na przeciwległy brzeg, starając się nie patrzeć na pędzącą wodę, sprawdziłem dno, zbadalem świeże lachy piachu naniesione przez noc i wróciłem do jurty. Za parę godzin przez bród przepędzimy tysiące owiec na nowe pastwiska. Jest to czynność trudna i uciążliwa. Owce dźwigające na sobie ciężkie runo momentalnie toną, gdy tylko zostaną zepchnięte z szerokiej, piaszczystej lachy, która tworzy bród. Zdarzało się, że całe stado płynęły z prądem, napecznie i cuchnace, aż padły pastwa wodnych drapieżników, lub w czasie wiosennych powodzi były wyrzucane na brzeg. Takie tragedie zdarzają się wówczas, kiedy przewodnik zmyli drogę, lub zostaje porwany przez prąd. Takie stado jest skazane na zagładę. Pasterze wiedzą o tym. Często przewodnik, stary, olbrzymi baran o rogach niby ogromne kolczce, zostaje wzięty na arkan i jeździec siłą przeciąga go na drugi brzeg.

Nasze przejście było udane. Zaledwie parę owiec popłynęło z prądem. Były to zazwyczaj sztuki słabe lub chore, które i tak padłyby któregoś dnia w rozpalonym do białości stepie. Lecz nie to jest ważne w mojej księdze wspomnień.

Wzdarzenie, jakie zapamiętałem do dziś, było bardziej tragiczne niż śmierć kilku słabych owiec.

Byłem na środku rzeki. Dookoła, na kilkudziesięciu metrach szeroką lawą brnęły owce. Ich głowy uniesione ponad wodę były skierowane ku oddalonemu brzegowi. Wiedzione instynktem parły do przodu, jakby świadome czającej się śmierci. Woda w stepie daje życie, lecz woda syberyjskich rzek niesie zagładę.

Nagle mój iszak skoczył, zarżał. Być może został uderzony przez potężnego suma, może kilkumetrowy węgorz otarł się o jego wlochaty brzuch, a może była inna przyczyna. Konik znalazł się na głębinie, poszedł pod wodę, wyprysnął w górę i z trudem pokonując prąd usiłował płynąć do brzegu. Kazachy podnieśli krzyk. Ja, wychowany nad tą rzeką, znałem prawa rządzące zarówno w stepie jak i w wodzie. Jednym susem, nie wypuszczając uźdz, zwałłem się z konia, poszedłem nurkiem jak najdalej od zwierzęcia, do przodu, dając w ten sposób możliwość koniowi na wydotanie się z tej przeklętej głębin. Lecz los iszaka był przesądzony. Być może strach odebrał mu siłę, albo woda załama mu uszy, dośię że zaczął tonąć. Naprawdę nie mogłem mu pomóc. Walczyłem o swoje życie. Puściłem uźdz. Dostrzegłem jak wynurzył się po raz któryś, poderwał rozpaczliwie łeb, jak bił chaotycznie nogami i mijał się w agonii.

Powtórnie poszedłem na nurka w stronę brzegu. Miałem przecież zaledwie dziesięć lat. Ani. Dziś moi rówieśnicy nie mają takich przygód. Nie mają okazji do hartu do sprawdzenia samych siebie. Ja w tamtych czasach musiałem podejmować decyzje, które równały się życiu lub śmierci.

Śluchasz? No więc, nurkowałem nieustannie, gdyż jest to jedyne sposob aby nie dać się prądom. Najszyciej płynie woda na powierzchni, w głębi jej ruchy są wolniejsze. Lecz cały mój kunszt pływacki nie dawał spodziewanych rezultatów. Znajdowałem się daleko od brodu, woda niosła mnie z niebywałą szybkością sychając ku środkowi rzeki. Wówczas przyszedł ratunek. Dwaj Kazachy, młodzi i silni chłopcy, pośpieszyli z pomocą. Nie pamiętam już dokładnie jak wszystko się odbyło, lecz przecież zostałem uratowany. A prawa obowiązuje nad tamtą rzeką mówią, że pomocy tonacemu można udzielić wówczas, jeśli się stoi na brzegu. Bowiem każdy, kto ryzykował

płynąć z pomocą, z reguły tonął także. Rzeka była bezwzględna. Zabierała zarówno tchórzy jak i najodważniejszych. Lecz ci dwaj młodzi Kazachy zaryzykowali. A jak myślisz, dlaczego to zrobili? Przecież wiedzieli, że doświadczenia, że akcja ratownicza skończy się potrójną tragedią. Ale ty nie znasz ludzi stepu dla których słowo przyjaciel jest największą świętością. Ci dwaj nie myśleli o sobie. Tonął przyjaciel — to wystarczyło.

Wiec mam niesplacony dług wobec przyjaciół z Kazachstanu, którzy zapewne szczęśliwie zakończyli swoje wolne życie w jakiejś jurcie z owczych skór. Jestem dłużnikiem, który nie oddaje zaciągniętych długów. I to jest najsmutniejsze w tej całej historii, która rozegrała się dwadzieścia siedem lat temu.

Zapewne zmęczyłem cię tymi opowieściami, Annemarie. Chciałabyś może usłyszeć o rzeczach wesołych, o zdarzeniach komicznych i frywolnych, które czynią życie łatwiejszym i stroją go w kolory. Przyznam się: uwielbiam śmiech, lecz w moim życiu, w moich wspomnieniach pozostały jedynie zdarzenia szare, codzienne, smutne czy też dramatyczne. O innych nie pamiętam. Widocznie minęły bez śladu, nie zostawiły po sobie niczego, co można byłoby przeżyć raz jeszcze.

W latach pięćdziesiątych była szkoła, prawdziwa polska szkoła, z modlitwami przed i po lekcjach, z obowiązkowym uczęszczaniem do kościoła, słowem z całym balastem odziedziczonym po szkole z lat trzydziestych. Reforma przyszła później. Potem zaczęto mówić o odbudowie kraju, o udziale młodzieży w tej społecznej akcji, śpiewało się o hutach, o przodownikach. Cokolwiek ci mówiono o nas z tamtych lat, zapewniam, że były to niewątpliwie porwijające i piękne lata. Nazywano to Służbą Polsce. Powiedz, czy może być praca bardziej zaszczytna niż praca dla ojczyzny? Wiec budowałem hutę w Częstochowie, odgruzowywałem Wrocław, kładłem drogi i stawiałem mosty, nośnięm podkłady i godzinami nie odchodziłem od młockarni. Nasze mundury osiły barwę lata, były białe od potu i ciągłego prania, białoczerwone naszywki białki, płowiały, strzępiły się. Służyliśmy Polsce! Liczyła się praca i walka, kielnia i karabin, boisko i książka, zebranie i pieśń! Tak hartowała się moja młodość. Na inne sprawy nie starczało czasu. Miłość? Oczywiście, była i miłość. Moi koledzy z hufców posyłała swoje dzieci na uniwersytety i akademie. Oni umieli podzielić czas, wyrwać cząstkę dla siebie, dla spraw nie mieszczących się wówczas w kregu moich przed-

stężyć. Wydawało mi się, że o-bok wielkiej miłości do kraju, nie ma miejsca na miłość do ludzi. Mówiłem sobie, że gdy tylko skończymy, kiedy wrócimy do domów, odłożymy szpade i skrypty, wówczas rozpoczniemy budowę własnego domu. Widzisz, popełniłem błąd. W świecie śmiano się z nas, przepowiadano rychły koniec, plwano na naszą pracę i młodość. Wiec musieliśmy dowiedzieć swej racji. Dzisiaj przyjeżdżają do nas, podziwiają, są pełni zachwytu i zdumienia. Jak to? Przecież mieli zginać, nasze przepowiednie były absołutnie pewne! To niemożliwe!

Wspomniałem, że gdybym pisał księgę wspomnień, być może znalazłbym miejsce dla pewnej dziewczyny, która chciała iść o-bok mnie. To była piękna dziewczyna. Ale to była dziewczyna o-ślepiąca przez drobniemięszkańskie otoczenie, które nauczyło ją rozpoznawać jedynie to co znajdowało się w zasięgu ręki. To zgubiło naszą miłość. Zawsze po-ciągały mnie nieprzetarte szlaki, niewiadoma, przygoda, jaką nie-sie w sobie dzień jutrzejszy. I ta dziewczyna stchórzyła. Przeraziło ją, że kiedy się obudzi, nie będzie ciepłej wody do mycia, zabraknie świeżych bułeczek na śniadanie i plasterków poledwicy z listkami zleonej pietruszki.

Potem znów była praca. Moi koledzy kończyli studia, zdobywali stanowiska, dobijali się zaszczytów i odznaczeń. Urządzał się w życiu, mieli służbowe samochody i kierowców. Kiedy to spostrzegłem, było dość późno. Lecz zdaje się wspomnieli, że kocham ryzyko i jestem uparty. Mając dwadzieścia dziewięć lat rozpocząłem studia medyczne na wydziale lekarskim Akademii Medycznej w Łodzi. Zaraz po pierwszych wykładach zacząłem zadawać sobie pytanie: po co to robię? Nie umiałem leczyć. Mogę coś tworzyć od podstaw, lecz remont? Nie, medycyna nie była tym, czego szukałem. Odszedłem. Zaczętem wieść żywot urzędnika, stonniowo windując się do góry, zmieniając zakłady, przenosząc się z miasta do miasta. W końcu, mając trzydzieści jeden lat, zdałem egzamin na filologię rosyjską Uniwersytetu Warszawskiego. Myślałem, że tu wtrzymam. Nie wtrzymalem. Studia nie bawiły mnie. Widocznie byłem za stary. Przeczułem moment właściwego wejścia. Wynik na mecie zależny od startu. Spóźniłem się. Do mety podążam samotnie, przez nikogo nie zagrożony. Moi rywale od dawna przemieśli się na inne bieżnie, inne stadiony, a ja ciągle kuśtykam do odległej, białej linii, gdzie od dawna nie ma ani sędziów ani publiczności.

Taka byłaby moja księga wspomnień, gdybym ją kiedykolwiek napisał.

ANNA KIESEWETTER



O pustynio, pustynio,  
pełna misko głodu,  
rozlane ogniem morze nie sięga do brzegu,  
tylko się przed twym piaskiem zatrzymuje strome.  
Źródło rozrzuca włosy  
suchych fal szelestem,  
a serce moje kłamie pijąc chłodną wodę.

RYHOR SIEMASZKIEWICZ

### Żołnierz

I potem zasnął. Długo spał.  
Jeszcze tak nigdy nie spał w życiu.  
Oddział saperów miny rwał,  
Co pozostały w pól poszyciu.

Nie słyszał. Choć drży wieś i gaj,  
Żołnierz spał błogo, spał bez trwogi,  
A o północy, w ten sam maj,  
Powrócił słowik z długiej drogi.

Z gałązki ponad oknem tuż,  
Zaśpiewał na swój sposób, tkliwie,  
O chacie skrytej w mroku grusz  
I nadwilejskiej swej ojczyźnie.

Jakby chciał rzec: „Oto i ja  
Wróciłem z pieśnią do swych ludzi,  
Ty, świecie, słuchaj pieśni mej”,  
Śpiewał. I żołnierz się obudził.

Przełożył: MACIEJ J. KONONOWICZ

JERZY WILMAŃSKI

### Odejście

Odchodzimy  
odbiegamy  
stuk o bruk

W miasta chłodne  
w wiosnę mokrą  
odchodzimy

Miejska mgła od sadzy lepka  
kadzidlane dymy-rymy  
lepki czas

Pod oczyma szare cienie  
odbiegamy odchodzimy  
Stuk o bruk

TADEUSZ GIGIER

### Tu dokona się lato...

ZDZISŁAWOWI KONICKIEMU

Tu dokona się lato, na skrawku ugoru,  
który od kartofliśka dzieli drut kolczasty,  
wiec w kolcach tego drutu, w suchych igłach ostu  
i w woni jego kwiatów, miodu i konwali.  
Lato, pstrokaty motyl na twoim sandale,  
który przysiadł na chwilę, wonna koniczyna,  
rośnie sobie a muzom, zapachów muzyce,  
drgającej nad ugorom w czerwcowe południe.  
Tu dokona się lato, tak w tej trawie świeższe  
grały w czerwcu, jak grają na wrześnie początku  
może cokolwiek ostrzej, a może to tylko  
rezonans ich koncertu w wypalonych żdźbłach.  
Słońce tak się skurczyło, że wisł owocem  
na krzaku dzikiej róży, bujnym niesłychanie.

Tutaj stało się lato i się nie odstanie.



Rys. E. Ingłot

## Norwid dzisiaj (II)

ANDRZEJ BISKUPSKI

# „PRZETO IDŹ ZA MNĄ“

We wstępie do *Vade-Mecum*, Norwid pisze: „Wielcy i słynni poprzednicy moi, zaiste, że jeżeli nie więcej, niż mogli, to dopełnili wszystkiego, cokolwiek można było. Wszelako: szkoła ta, cechująca się rozjaśnianiem i wyrokowaniem o szerokich historycznych sytuacjach lub o PRAWACH NARODU, nie miała zapewne dosyć czasu, aby w utworach jej strona OBOWIĄZKÓW, strona MORALNA, znaczne zajmowała miejsce... W ogóle literatury naszej MORALISCI zbyt szczerzym są zastępem dlatego, że położenie narodu daje więcej folgi głosom o PRAWA wolaającym niżli zajmującym się OBOWIĄZKAMI“.

Wychodząc od tych słów — i traktując je jako swoistą wskazówkę przydatną do badań nad całą dotychczasową literaturą polską — można by zupełnie inaczej

użyć „diachronie” dynamizującą dzieje naszego piśmiennictwa: wielkie style literackie, to nie tyle style romantyczne i klasycystyczne, mające rytmicznie następować po sobie jako swe przeciwieństwa — ale ciągle jeden i ten sam styl romantyczny, upominający się o prawa, i stale z nim współwystępujący styl moralistyczny, określający obowiązki i próbujący syntetyzować to, co tamten, sam, zaledwie zapoczątkował. Badacz biorący na serio teorię o przemienności następowaniu po sobie stylu romantycznego i klasycystycznego, jest na dobrą sprawę jedynie niekonsekwentnym heglizją, któremu występujące zawsze dwa tony tryadycznej przeciwieństwa nigdy nie pozwalają na przejście ku syntezie. W jego ujęciu proces historyczny (tu historyczno-literacki) „realizuje się” tylko dlatego, że historia

przynajmniej to potrafi, iż potrafi ciągle sobie przeczyć: jest wtedy wszakże jakby niedowidzącym duchem, który zaledwie rozpoznaje to, co występowało o jeden krok wstecz, i czemu przecząc w błąd popada, będący osiągnięciem stanu, w którym już wcześniej przebywał. Rytm dziejów wszakże nie ustaje tutaj, ale jest przeciwieństwem zmian — jawi się bowiem w postaci rytmu falistego, a zatem nie jest ruchem wznoszącym, tj. takim, który by zmierzał do realizacji postępu.

Jeżeli piszemy te słowa, to nie z tym zamiarem, by z kolei twierdzić, iż w ramach drugiego modelu realizuje się dialektyka heglowska — i że sam Norwid przyswoił sobie należenie ducha swojej epoki: tj. heglizm. Chcemy pokazać, że taka charakterystyka postawy romantycznej, która tworzona

jest w przeciwstawieniu do postawy klasycystycznej, jest zaledwie charakterystyką formalną romantyzmu (jak zresztą — wtórnie — także klasycyzmu) — propozycja zaś, wedle której postawie romantycznej przeciwstawia się (ale na zasadzie negacji dialektycznej) postawę moralistyczną, stanowi ważne uzupełnienie postawy romantycznej o ten jej wymiar, który zawsze nakazuje traktować świat jako zadanie, nigdy nie dające się zakończyć pełnym samozadowoleniem. Nie zatem dziwnego, że w programie teoretycznym Norwida sfera obowiązków zajmuje pierwszoplanowe miejsce, a realizację artystyczną tego programu miały dokonać — wedle własnych jeno słów — „skreśli koniecznie w poezji polskiej“.

KONRAD FREJDLICH

# NORWID ODŚWIĘTNY

O wielkości Norwida mówili już modernisiści, zwłaszcza zaś jego właściwy odkrywca — Miriam, ale przekonanie to dopiero w naszych czasach zdobyło sobie pełne prawo obywatelstwa. Głównie zresztą przez autorytet i upór kilku jego popularyzatorów, wśród których największe zasługi ma jego powojenny wydawca Juliusz W. Gomulicki. Mamy zresztą do czynienia raczej z recepcją samego nazwiska (które słusznie wymieniamy się jednym z obok Mickiewicza i Słowackiego), niż z rzeczywistym funkcjonowaniem dzieła Norwida w szerszych kręgach społecznych. Dzieło to, pomimo frazesów wygłaszanych z różnych okazji, pozostaje nieznaną i musimy sobie to szczerze powiedzieć: arcydzieła kultury narodowej nie udało nam się właściwie w jej społeczny krwiobieg. Jedną z przyczyn tego stanu rzeczy jest zapewne to, że mimo upływu blisko 90 lat od śmierci poety, tylko „wtajemniczeni“, a więc wydawcy mogli się zapoznać

z całokształtem jego zachowanego dorobku. Ukazujące się obecnie nakładem PIW wydanie pism wszystkich Norwida ukazuje się w zenująco niskim, jak na pierwodruk, nakładzie 12 tys. egzemplarzy.

Ale zaobserwować możemy także przeciwieństwo tego zjawiska. Jak poprzednio dzieło Norwida skazane było na zapomnienie, tak obecnie, nieopoznane do końca, skazane jest na nadużycia. W kręgach poetów młodej generacji, ale także wśród starszych, ten przez całe dziesięciolecie zapoznany geniusz patronuje poczynaniom, z którymi nie zawsze zapewne chciałby się solidaryzować. Wystarczy policzyć ile razy motto z Norwida wspiera wątpliwego autoramentu poczynania poetyckie, ile razy mechanicznie dokonana spacja ma dowodzić bezpośredniego powinowactwa z głębią Norwidowskiej myśli, aby dojść do wniosku, że i współczesnie dzieło jego podlega traktacji równej niemal tej, jaką dotknęła

je w Domu Św. Kazimierza, gdy po śmierci korzystającego ze wsparcia nędzarza szarytki spaliły teki rękopisów znalezionych w jego kuferku.

Także myśl Norwida zostaje nieopoznana. Czyż nie jest tego dowodem fakt, że trzeba było Roku Norwidowskiego, aby się wreszcie ukazało parę książek zawierających egzegezę twórczości poety? Gdy je zestawimy z bibliografią pozycji poświęconych Mickiewiczowi czy Słowackiemu to okazuje się, że bibliografia książek o Norwidzie prawie nie istnieje. Wielka to niesprawiedliwość wobec twórcy, który słusznie uchodził za prekursora postawy poetyckiej tak bliskiej mentalności naszych czasów. Toteż pomimo nadużywania imienia poety przy różnych okazjach twórczość jego wywiera minimalny wpływ na zjawiska sztuki współczesnej. Rzeczywistej recepcji dzieła Norwida nie może zastąpić parę, wciąż tych samych cytatów z jego twórczości, które przeniknęły

do publicystyki i krytyki. O tym, że poeta się nie jest, ale że się nim bywa. I o tym, że zadaniem artysty jest organizować wyobraźnię narodową.

Norwida wciąż jeszcze przywołuje się odświętnie. Sprawilo to, że spora liczba ludzi w Polsce ośluchała się już z jego nazwiskiem. Możliwe więc było nawet popularne, kieszonkowe wydanie jego poezji. Ale dla jeszcze większej liczby ludzi w Polsce Norwid jest tekturką piszącym dla Niemena, autorem „Rapsodu”. Smutny to paradoks zważywszy, że mamy do czynienia z jednym z najwybitniejszych zjawisk w poezji światowej XIX w. Zobowiązujemy nas to do intensyfikowania działalności popularyzatorskiej, do zaprezentowania twórczości Norwida najszerzym kręgom społecznym. W przeciwnym razie okaże się, wbrew temu, co z głęboką intuicją głosił poeta, że u nas nie tylko czyni, ale i książki wschodzą za późno.

MIECZYSLAW KUCNER

# LEKCJA NORWIDA

Norwid, pisarz nie rozumiany i nie doceniany przez swoich współczesnych, posiadał świadomość własnej wyjątkowości w kulturze narodowej i nowatorstwa tworzony przez siebie poezji na tle współczesnych mu, niebagatelnych przecież dokonań artystycznych. W liście z 1866 r. do księgarza i wydawcy brukselskiego, Henryka Merzbacha, polecając swoją książkę poetycką pisał: „Wstęp do *Vade-mecum* określa jaki jest czas poezji polskiej i w które strony odtąd pójdzie... fragmentów 100, a mianowicie onych główna część, są jakby idąca już w te strony nową poezją“. W mojej wypowiedzi, skrótowej niestety, pragnę skupić uwagę czytelnika na tym aspekcie zacytowanego wyżej fragmentu z listu, który zapowiada kierunek rozwoju poezji nowoczesnej i... poleca realizację takiej poezji. Zabieg taki wymaga odwołania się do stanu współczesnej świadomości poetyckiej w kontekście jej potrzeb, dążeń i związków z ogólną sytuacją myślową współczesności.

Stwarza to szanse na uchwycenie związków Norwida z dniem dzisiejszym. Otóż poezja współczesna, jak ją rozumiemy, mimo swej wielopostaciowości i różnicowania posiada pewne cechy wspólne, które uprawniają nas do sensownej refleksji nad jej istotą i funkcją. We wszelkich wypowiedziach o charakterze syntetycznym, w podsumowaniach pisanych z ambicją ujęcia całościowego i określenia horyzontów duchowych poezji współczesnej od lat przewija się motyw czy też postulat przewartościowania podstawowych pojęć dotyczących twórczości poetyckiej, wreszcie modelu poezji samej. Chodzi w istocie o to, że wzrost wiedzy na różnych płaszczyznach poznania i poszerzenia granic doświadczenia ludzkiego głęboko zmodyfikowały obraz świata i wyobrażenie człowieka o sobie samym. Postęp technologiczny stawia nowe wymagania przed naszym człowieczeństwem. Sztuka zaś, w tym i poezja, nie wyraża absolutnych i niezmiennych rzekomo prawd,

lecz na równi z innymi formami aktywności ludzkiej podlega ciśnieniu czasu. Stąd też i nasze próby określenia czym jest i czym powinna być poezja noszą stempel o czytelnym oznakowaniu historycznym. Rzecz niezmiernie ważna i aktualna, jakie modele poezji, jakie struktury wyobraźniowe uprawomocnione są sytuacją epistemologiczną, czyli wiedzą o charakterze związków znaczących między poezją a światem, umysłem a rzeczywistością, podmiotem a przedmiotem. Właśnie implikacje zawarte w tradycji marksistowskiej, egzystencjalizm, by wymienić najważniejsze z nowożytnych kierunków myślowych, czy też bardziej empirycznych dziedzinach doświadczenia jak przyrodoznawstwo, szczególnie mechanika kwantowa, socjologia lub psychoanaliza stanowią podstawę do wyprowadzenia wniosku o interferencji ludzkich postaw w strukturę i treść poznania. Podmiotowość ludzka staje się niepomijalnym atrybutem wszelkiego doświadczenia; nie

poznajemy rzeczywistość samej w sobie, lecz rzeczywistość „uczłowieczoną“. Co więcej, samo pojęcie poznania zyskuje zupełnie nowy sens, gdyż w procesie poznawania podmiot ludzki nie zachowuje się biernie, lecz współuczestniczy w artykulacji świata wedle swoich właściwości; spełnia rolę konstytutywną. Ten konstytuujący charakter umysłu i wyobraźni stanowi niezwykle cenny dar, jakim wiedza nowoczesna obdarza nasze człowieczeństwo, tym szczególnie widzimy to na terenie poezji, gdzie rozstrzygające znaczenie posiadają operacje o charakterze porządkującym, uogólniającym, syntetyzującym. Jest tu też miejsce na Norwidowy postulat, wyrażający niewątpliwie z inspiracji Hegla, tworzenia struktur interpretacyjnych dla doświadczenia potoczego („I uogólnić co się dniowo kreśli“), konstruowania schematów orientacyjnych („Ten szczegół jest ogółem“) oraz totalizacji dialektycznych w dążeniu do ogarnięcia „całości sprawy człowieka“.

## Przeszłość i terażniejszość

Historyk dziejów dawnych jest pod jednym przynajmniej względem w sytuacji korzystniejszej niż ta, w jakiej znajduje się badacz przeszłości dopiero niedawno minionej. Zanim zainteresuje się jakimś problemem czy wydarzeniem, wie on, co z niego wynikało, jakie były jego skutki, jak później potoczył się proces dziejowy. Towarzyszące wyborowi tematu i obecne w toku pracy badawczej świadomość bliższych i dalszych konsekwencji badanego wydarzenia bądź procesu, to dla historyka swojego rodzaju handicap, który pozwala mu łatwiej dostrzec w przeszłości to, co było w niej rzeczywistością, zaś usunąć na dalszy plan to wszystko, co stanowi o-koliczności i wypadki drugorzędne, zaciemniające obraz badanego przedmiotu. Cóż jednak ma czynić uczonego, który nie może skorzystać z tego przywileju, bowiem zajmuje się dziejami ubiegłymi tak niedawno, że niesposób dociec, co z nich

wynikło, skoro znajduje się to jeszcze w... czasie przyszłym? Czy wolno mu czekać, aż interesujący go problem ucukruje się jak figa i uleży jak tytoń, co w praktyce wiodłoby do zrezygnowania z uprawiania tego rodzaju historii? Mamy w bliskiej pamięci czasy, kiedy poważni historycy stronili jak od ognia od badania dziejów XX wieku, ba, niechętnie tylko dopuszczali możliwość naukowego zajmowania się schyłkiem XIX stulecia, fetyszyzowali ów pożądany zapewne, ale jakże często nieosiągalny dystans badacza w stosunku do interesującego go przedmiotu. Postawa ta nie wytrzymała konfrontacji z rozwojem współczesnego świata i — jak to można obserwować w dziejopisarstwie wszystkich krajów — historia współczesna stała się pełnoprawną, jeżeli nie uprzywilejowaną — również przez czytelników — dziedziną nauki historycznej. Historia typu tradycyjnego, ta, która zajmuje się

„dawniejszymi dziejami — powiada wielokrotnie tu cytowany historyk brytyjski — „rozpoczyna się w danym momencie przeszłości — na przykład od rewolucji francuskiej, rewolucji przemysłowej czy Kongresu Wiedeńskiego — i posuwa się systematycznie naprzód, odnajdując ślady stałego po-

lough tak właśnie winna być czynić, metodą zupełnie odmienną. Nie znając dziejów przyszłych — bo któż je znać może — obiera za punkt wyjściowy swierze refleksji istniejący kształt terażniejszości i z niej dobywa swego katalogu pytań, który wypadnie jej postawić przed przeszłością. Z odleg-

ale uzasadnione, skoro praktyka zlego dziejopisarstwa daje nam wcale sporo takich właśnie przykładów. Chodzi jednak o coś zgoła innego, bowiem nie będziemy się zatrzymywać nad objawami dewiacji, które występują tu równie często, jak w każdej innej dyscyplinie naukowej, która zajmuje się terażniejszością. Historia współczesna, tak jak ją rozumie Barraclough, odwołując się do dawniejszych epok jest — posłużyć się tu pojęciem ukutym przez wybitnego historyka francuskiego Fernand Braudela — historią długiego trwania i interesuje się nimi z tego właśnie punktu widzenia. Dlatego też nie może sobie zakreślić wstecz jakiejś chronologicznej czuury, która by raz na zawsze oddzielała to, co jest przedmiotem jej zainteresowania od tego, co nim nie jest. Dlatego też — zauważa historyk brytyjski — inaczej spogląda na przeszłość. Obie metody, ta, która jest tak droga „zwyktemu“, tradycyjnemu dziejopisarstwu, oraz odmienna od niej metoda historii współczesnej — pisze Barraclough — „mogą zaprowadzić nas w odległą

przeszłość, ale będzie to inna przeszłość“. Historyk dziejów politycznych, który obrął za początek swych rozważań np. rok 1815, „nie-mał z konieczności“ skupi swą uwagę na Europie, „wydarzenia zaś w innych częściach świata będą na ogół uchodziły za peryferyjne, poza tymi, które można podciągnąć pod hasło „ekspansja europejska“. Historyk współczesności — podkreśla tę różnicę Barraclough — zobaczy te same dzieje w odmiennych proporcjach. „Jego punktem wyjściowym będzie ogólny system polityki międzynarodowej, w której sferze dzisiaj żyjemy, a jego głównym zadaniem będzie wyjaśnić, jak ona powstała“. I dlatego na równi będzie się interesował Europą oraz ścieżaniem się imperializmów w Azji Środkowej i na zachodnim Pacyfiku, a jego spojrzenie stanie się przez to bardziej uniwersalistyczne. „Obydaj historycy zanalizują ten sam fragment przeszłości, ale dokonają tego mając różne cele na uwa-dze i stosując różne kryteria oceny“. I obydwaj mają pełne prawo tak czynić.

JÓZEF GRZELAK

# Osobliwości historii współczesnej

stępu wzdłuż linii biegnących naprzód od wybranego momentu początkowego“. Historia współczesna, jeżeli pragnie rzeczywistość zgłębić nie tylko genezę, lecz przede wszystkim strukturę i dynamikę współczesności, jeśli nie chce zrezygnować z jakże często ulomnych możliwości naukowego prze-widywania, postępuje się, i zdaniem Geoffrey Barra-

clougha, niepowtarzalnym kształcie. Czyżby więc chodziło o projekcję w przeszłość współczesnych pragnień i ideałów? Fytanie jest uprawdźcie prowokacyjne,



ANDRZEJ HAMPEL

## Bieg do koryta czyli anatomia klikki

1.

Powiada się, że przysłowia są mądrością narodu. Niewątpliwie, ale istnieją powiedzonka i przypowieści, których mądry naród powinien się wstydić. Istnieją „lebo” zakorzenione w niektórych środowiskach przysłowia wyjątkowo paskudne i wredne, społecznie demoralizujące. No bo na przykład, czy stwierdzenie: „ręka rekę myje”, albo zalecenie „pracuj cicho i potakuj, siedź na d... nie podskakuj” użyć można za owoc mądrości. Są zapewne osobnicy, którzy słysząc je uśmiechają się z aprobatą, przyjmując za swoje

credo życiowe. Twierdzą, że właśnie dziś są one szczególnie niebezpieczne, dezorganizujące zdrowy proces rozwoju kraju. Grudzień, poza przecieciem pewnych nieprawidłowości naszego życia ekonomicznego, przyniósł także oczyszczenie stosunków między ludźmi. Zlikwidował istniejący tu i ówdzie klimat nieufności i sobkostwa, zdjął zasłonę z pewnych problemów dotychczas tabu, stworzył warunki do otwartej walki ze „świętymi krowami”. Uświadomił, że milczenie o drażliwym problemie nie równa się jego likwidacji. Spowodował także, iż generalnie zawęża się mo-

żliwość funkcjonowania choroby społecznej zwanej klikką. W społecznej geografii jest ona wprowadzie zjawiskiem z marginesu naszego życia, jednak zjawiskiem na tyle niebezpiecznym, że trzeba o nim mówić i pisać bez ogródek.

2.

Prawnik niemiecki profesor uniwersytetu londyńskiego Henryk Mannheim, kilkanaście lat temu dość czarno rysował perspektywy świata. Stwierdził, że w miarę upływu czasu powiększać się będzie ilość przestępstw gospodarczych i obu systemom grozi katastrofa (o ile oczywiście istniejące dotychczas instytucje prawne i kodeksy nie ulegną przewartościowaniu). Mieszkańcy naszego pięknego świata rozkradają bowiem mienie prywatne i państwowe w tempie zastraszającym. Na dowód przytoczył kilka liczb obrazujących procent przestępstw ekonomicznych w krajach Europy Zachodniej. I tak np. w Niemczech przed 1939 r. liczba tego rodzaju przestępstw w stosunku do innych wykroczeń przeciwko prawu wynosiła 47, zaś w Anglii aż 78 procent. Po wojnie wielkość te miały się ponoć jeszcze powiększyć.

Daleki jestem od sugerowania obrazu Rzeczypospolitej jako kraju rozkradanego i rujnowanego przez aferzystów i rekiny finansowe. Nie trzeba tu dowodzić, że inne nami rządzi prawa i prawidłowości. Niemniej jednak przestępstwa gospodarcze i klikki pojawiają się i u nas, skutkiem nie zawsze prawidłowej organizacji pracy, zarządzania i kontroli, skutkiem atmosfery pobłażania dla hucpy i bierności. Stokroć bardziej kosztowne w naszych warunkach — aniżeli ilość straconych złotych — są koszty deprawacji społecznej.

Dziś, kiedy możemy efektywniej korzystać z poczucia odpowiedzialności i odwagi, jesteśmy w stanie demaskować wcześniej już w zarodku „klimaty bezprawia”.

3.

Znamy dobrze z relacji prasy procesy kombinatorów i oszustów, afery gospodarcze. Obserwaliśmy rozprawy przeciwko klikom, w gastronomii, przemyśle mięsnym, skórzanym, w Łodzi mieliśmy aferę mieszkaniową. Wszędzie stawała przed sądem grupa ludzi związanych wspólnym interesem, osiągnięciem celu kosztem i krzywdą innych.

Żyjemy w czasach tak skomplikowanych, powiązani różnymi zależnościami i stosunkami, że i przestępstwo trudno popełnić w pojedynkę. Powstają więc grupy, porozumienia, podział ról i koordynacja działań. Potem, rzecz jasna próby, zagwarantowania sobie milczenia tych, którzy mają czuć nad prawidłowym funkcjonowaniem przedsiębiorstwa czy urzędu, a także tych, którzy stykając się z członkami klikki pośrednio korzystają z owoców jej działania. Płynnie więc potokami wódka, organizuje się obiady i kolacje, wręcza się prezenty. Kupuje się dyskrecję, przymknięcie oka we właściwym momencie, przekupuje się sumienia ludzkie. Na wyższym szczeblu wtajemniczenia przepływ gotówki z łapy do łapy odbywa się z zachowaniem wszelkich pozorów. Aranżuje się np. kameralnego pokerka i wówczas kupowanemu dziwnie sprzyja szczęście, kupujący zaś ma wyraźnego pecha.

Okazywało się nieraz, że u początku akcesu do klikki leżały zwykły strach. Strach przed utratą pracy, premii, dobrych stosunków z szefem. Ale także mit. Mit bezkarności gwarantowanej rzekomymi

4.

O ile stosunkowo łatwo rozprawić się z klikką operującą w fabryce, biurze czy urzędzie, fałszującą dokumenty, dokonującą ewidentnych przestępstw, o tyle trudniej zdemaskować ją w teatrze, filmie, wydawnictwie, szkole czy uczelni. W pierwszym przypadku sprawny system kontroli wychwytywać może fikcyjne dane, martwe dusze, niewłaściwą recepturę produktu itp. Ale jak dobrać „niezłachetnej zmowy” lansującej tego lub innego aktora, filmowca, autora? Gdzie kończą się wygórowane nawet ambicje, będące jednak bodźcem dla twórczej pracy, a zaczyna droga do osiągnięcia korzyści nie zasłużonych, dzięki tzw. korzystnym układom, poparciu „swoich”, mity, kumpła czy wujka „na górze”.

5.

Tak więc członków grupy przestępczej czy klikki łączyć może albo — mówiąc grubo — bieg do koryta, chęć napełnienia kieszeni za wszelką cenę, albo pragnienie bezwzględnej wybić się, skoku oczko wyżej, przy zastosowaniu metod znanych z walki wolnoamerykańskiej.

Refleksje te powstały na marginesie świętej pracy z pogranicza socjologii i prawa pt. „Klimaty bezprawia”, pióra Krystyny Dąbkiewicz, pierwszego w naszym piśmiennictwie wszechstronnego studium zjawiska patologicznego zwanego klikką.

## POLONICA

„L'HERNE”  
O GOMBROWICZU

Francuskie czasopismo literackie „L'Herne” opublikowało podwójny, 500-stronicowy numer, w całości poświęcony życiu i twórczości Witolda Gombrowicza. Pierwszą część tego numeru dotyczą czasów przedwojennych, spędzonych przez twórcę „Ferdynurka” w Polsce. Znalazło się tu m. in. wspomnienie Tadeusza Brezy z tomu „Nelly”, esej Andrzeja Kijowskiego, artykuły Kazimierza Brandyasa i Konstantego Puzyny, praca chorwackiego polonisty, dr Zdravko Malicia o Gombrowiczu jako przedwojennym krytyku, listy Gombrowicza do Artura Sandaiera, szkic brata, Jerzego Szymkowiec-Gombrowicza, o tradycjach rodu i domu rodzinnym pisarza itd. Część druga tego numeru — monografia dotyczy pobytu twórcy „Trans-Atlantyku” w Argentynie. Znalazły się tu m. in.

świetnie napisane wspomnienia znanej pisarki i tłumaczki, Zofii Chądzyńskiej, która często w owych czasach widywała Gombrowicza w Buenos Aires. Część trzecia tego numeru „L'Herne” omawia moment „zdobycia przez naszego pisarza sławy międzynarodowej” — od czasu opublikowania jego książek w przekładach francuskich, otrzymanie nagrody wydawców i inscenizacji „Słubu” we Francji w tłumaczeniu Jadwigi Kukułeczki, w reżyserii Jorge Lavellego i scenografii Krystyny Zachwatowicz. Ostatnie strony wspaniale wydane-go numeru „L'Herne” omawiają lata ostatnie pisarza, spędzone w Wenecji (południe Francji), m. in. jest tu „Przewodnik po całej filozofii w 8 godzin i kwadrans”, poddyktowany przez Gombrowicza jego francuskiemu wielbicielowi, Dominikowi de Roux i własnej żonie. Zdumiewające osiągnięcie, jeśli zważywszy, że Gombrowicz był już wtedy ciężko chory na astmę. Numer francuskiego czasopisma, poświęcony au-

torowi „Iwony księżniczki Burgunda”, „Słubu”, „Trans-Atlantyku” i „Ferdynurka” jest tym bardziej godny uznania, że w niektórych kolach nie brakło już próby „opolonizowania” naszego pisarza. Na przykład na kongresie Federacji Penklubów w Mentonie, w 1969 roku, tuż po śmierci Gombrowicza, ze strony niemieckiej starano się go zaliczyć do pisarzy tego kraju i tak go prezentować. Dopiero protest polskich delegatów poparty przez francuskich i czeskich kolegów próbę tę udaremnił. „L'Herne” nie podaje wyłącznie pozytywnych sądów o Gombrowiczu. Na przykład zażyto w tym ujemne opinie Ungartego i Gilsone o broszurze Gombrowicza o temat Daniego. Mimo bogactwa materiału nie brak tu pewnych luk. Na przykład we wspomnianej pracy Malicia o przedwojenną, tak ciekawą esesliście Gombrowicza pominięto jego artykuły w „Czasie” i „Studio”, uwzględniając jedynie „Kurier Poranny”. Stosunkowo mało miejsca

przynano dramatopisarstwu Gombrowicza i dzieltom inscenizacji jego sztuk.

W. N.

## AUSTRIA — POLSKA

Otrzymałmy kolejne wydanie czasopisma „Osterrreich-Polen”, które ukazuje się w Wiedniu nakładem Towarzystwa Austriacko-Polskiego, pod redakcją dra Theodora Kanitzera. Numer wydany z okazji Międzynarodowych Targów Jesiennych w Wiedniu na pięknym kredowanym papierze, przynosi sporo ciekawego materiału. A więc przede wszystkim artykuł ministra Kazimierza Olsewskiego o wymianie handlowej z Austrią, artykuł Zbigniewa Kozakiewicza pt. „Warszawa, stolica Polski”, artykuł Mariana Woydylo o polskim plakacie oraz szereg innych materiałów. Jak zwykle i tym razem redakcja zamieściła bogatą kronikę wydarzeń politycznych i kulturalnych, ukazujących żywe kontakty między Austrią i Polską.

Numer zdobiał ilozne i bardzo dobre fotografie.

JK.

## NOWOSCI POLSKIE W JĘZYKU NIEMIECKIM

Wiedeńskie pismo „Osterrreich-Polen”, redagowane przez dr Th. Kanitzera, w numerze 78 z maja br. propaguje w osobnej rubryce książki polskie w języku niemieckim. Znajdujemy tu krótkie recenzje pozycji z zakresu historii, filozofii, ekonomiki i literatury dla dzieci, m. in. przewodnika „Miejsca walki i męczeństwa”, Celinę Bobińskiej „Historycy i prawda historyczna”, a także Juliana Tuwima „Die verbummelte Nachtigall” i Joanny Kulmowej „Hüo, Leokadia”.

Te ostatnie dwie pozycje zostały przetłózone dla młodych czytelników przez Wilhelma Tkaczyka oraz O. J. Tauschinskiego. Szkoda, że rubryka „Nowe książki” w tym interesującym piśmie o przewadze tematyki gospodarczej, ukazuje się nieregularnie.

(er)

## WARSZAWSKIE PRZEDSTAWIENIA

W specjalnym rocznym numerze „THEATER HEUTE” znajdujemy obszerną relację z warszawskich teatrów pióra wybitnego krytyka teatralnego Rolfa Michaelisa. Krytyk omawia wnikliwie, aż na trzech kolumnach, przedstawienia „Hamleta” i „Nieboskiej komedii” w Teatrze Narodowym oraz „Marilyn Stuart” F. Schillera w Teatrze Współczesnym. Uważa je za doniosłe i wybitne wydarzenia teatralne, nie szczędzi słów wysokiego uznania dla współtwórców tych spektakli, wyróżniając szczególnie D. Oibrychskiego — subtelną analizę jego roli — „wielkie aktorki” H. Mikołajską i Z. Mrozowską, a także reżyserów (A. Hanuszkiewicza i E. Axera) oraz scenografię E. Starowiejskiej i M. Koldzieja. Na widowni Teatru Narodowego zauważa rozentuzjazmowaną młodzież, której nie ma żaden teatr europejski.

SK.

ZENON RUDNICKI

## Lato neofilologów

— Żyjemy w epoce eksplozji informacji. Aby nadażyć za epoką i stać się jej świadomym uczestnikiem, konieczna jest znajomość języków obcych. Prawda ta nie była nigdy tak oczywista, jak obecnie. Aby opanować język obcy, musi być świadoma wola uczącego się do osiągnięcia tego celu. Ale to nie wystarczy. Stworzono cały wachlarz narzędzi, które mają wygładzić drogę do tego celu. Staramy się, aby te narzędzia ulepszać, gdyż mają służyć masowemu zapotrzebowaniu, jakie zrodziło się szczególnie gwałtownie po drugiej wojnie światowej — powiedział m. in.

prof. dr Ludwik Zabrocki, członek PAN, w auli Uniwersytetu Jagiellońskiego w swoim wykładzie inauguracyjnym, rozpoczynającym studenckie praktyki obcojęzyczne dla neofilologów z całego kraju. Do Krakowa zawiątało około tysiąca młodych rusycystów, romanistów i germanistów (anglicyści odbywali swoje praktyki w Poznaniu). Ze Związku Radzieckiego Francji i NRD zaproszono prawie stu wykładowców i mentorów, których zadaniem było przybliżyć naszym studentom język i kraj przez nich reprezentowany. Zasadnicze punkty programu

piętnastych z kolei praktyk językowych przewidywały: podniesienie poziomu praktycznej znajomości języka obcego; pogłębienie wiadomości o zjawiskach życia codziennego i jego odbicie w systemie leksykalnym; rozszerzenie orientacji w zakresie aktualnych problemów kulturalnych i społecznych (literatura, teatr, film, telewizja, muzyka, malarstwo); wyświetlanie filmów długo- i krótkometrażowych w wersji oryginalnej; czytanie wybranej lektury i dyskusje w oparciu o tę lekturę; ćwiczenia z zakresu wybranych struktur zdaniowych i ćwiczenia fonetyczne. Program realizowali wykładowcy zagraniczni w czasie 4-godzinnych zajęć audytoryjnych i laboratoryjnych przed południem. Po południu odbywały się 3-godzinne zajęcia z mentorami, wiedzanie miasta, wieczorki dyskusyjne i taneczne, spotkania ze współczesną piosenką i poezją. Bezpośrednie rozmowy z przedstawicielami ambasad i konsulatów akredytowanych w Warszawie i Krakowie,

spotkania z pisarzami, wydawcami, przedstawicielami zagranicznych władz oświatowych stwarzały dodatkowe warunki sprzyjające pogłębieniu znajomości języka obcego i nawiązaniu osobistych kontaktów. Przebiegiem praktyk żywo interesował się osobiście wiceprzewodniczący Rady Państwa, JM Rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego, prof. dr Mieczysław Klimaszewski. Pomyślna realizacja zadań narysowanych przez Ministerstwo Oświaty i Szkolnictwa Wyższego nie byłaby do osiągnięcia, gdyby nie zapewniono odpowiedniej bazy materialnej. Taką bazę stworzyły władze naczelne UJ w osobach JM Rektora UJ, Prorektora UJ prof. dra Mieczysława Karasia i Dyrektora Administracyjnego UJ mgra Jana Hajeca. Władze te oddały do wyłącznej dyspozycji kursu nowoczesny hotel studencki przy ul. Piasłowskiej i drugi przy ul. Reymonta, sale wykładowe, aulę uniwersytecką, la-

boratorium językowe, ze smakiem wyposażone pomieszczenia klubowe dla studentów. Większość naszych młodych neofilologów po drugim roku studiów miała okazję po raz pierwszy stawić się przez trzy tygodnie bezpośrednio z zagranicznymi wykładowcami i mentorami, aby odbyć obowiązkowe praktyki językowe. Stworzono warunki zbliżone do rzeczywistości, jednak nie zastąpi indywidualnego wyjazdu za granicę. Ministerstwo Oświaty i Szkolnictwa Wyższego nie jest jeszcze w stanie wysłać wszystkich studentów neofilologii do obcych krajów, gdzie istnieją najlepsze warunki zweryfikowania i doskonalenia umiejętności obcojęzycznych. Pod zdecydowanym warunkiem, że nie będą to wyjazdy grupowe. Przeprowadzony „eksperyment zagraniczny” nie dał pożądanego wyniku. Wydelegowanie studentów dokłada; starań w demonstrowaniu swojej odrębno-



# BOŻA KSIĄŻKAMI

LISTY  
MARII KONOPNICKIEJ

Maria Konopnicka żyła w epoce pisania listów. Korespondencja jej do ludzi w kraju i za granicą obejmuje, podobnie jak puszczona epistolarna Elizy Orzeszkowej, kilka pękających tomów. Obecnie ukazał się nakładem Ossolineum, I tom „Korespondencji” Marii Konopnickiej. Obejmuje on listy autorki „Pana Balcera” do J. I. Kraszewskiego, Stanisława Krzemienieckiego, Teofilii Lenartowicza oraz do pisarzy czeskich: Ernesta Schwaba-Polabskiego, Jaroslawa Vrehlickiego, Elišky Krásnohorskéj i Františka Kvapila. Pierwszy list tomu pochodzi z 27 maja 1881, ostatni — z 24 grudnia 1902 roku. Tom poprzedził przedmowa Konrada Górskiego, a wstęp do poszczególnych działów opracowali: Stanisław Burkot, Konrad Górski, Jan Nowakowski i Jerzy Sliński. Doskonale sporządzone komentarze i przypisy czynią z publikacji listów M. Konopnickiej dzieło pierwszorzędnej wagi.

Lektura tych listów, pisanych w stylu epoki, zdumiewa nas a niekiedy i śmieszy. Przesada w grzeczności, emfaza, patos i uczuciowość wydadają nam się pretensjonalne, aby nie rzec — dziwaczne. O wiele ważniejsza jednak od formy jest treść tych listów. Dają one wgląd nie tylko w życie i zainteresowania twórcze Konopnickiej oraz jej adresatów. Przynoszą sporą wiedzę o życiu epoki, jej tendencjach i aspiracjach w sztuce. Szczególnie ciekawe są listy Konopnickiej do pisarzy czeskich. Unaoczniają nam one jak żywe były wówczas kontakty obu tych literatów i jak słabe (mimo wszystko) są te kontakty dzisiaj.

Cennym uzupełnieniem I tomu listów M. Konopnickiej jest materiał ikonograficzny. Składają się nań zarówno portrety pisarzy jak i zdjęcia domów, w których korespondencja mieszkali, a także faksymile niektórych listów.

JK.

\*) Maria Konopnicka: „Korespondencja”, Tom I, Ossolineum, Wrocław 1971, stron 248, cena: zł. 55.—

O „Białowłosej” \*) nie powinno się pisać z kilku powodów, a co najmniej dwóch, które wymienię. Przede wszystkim dlatego, że w programie już została zamieszczona recenzja pióra Stefana Kisielewskiego. Wprawdzie pisał ją wówczas gdy przedstawienia jeszcze nie widział, ale za to ocenił je nadzwyczaj pochlebnie. Zapewne kierował się względami, które stanowią drugi powód mojej niechęci do pisania o „Białowłosej”. Podczas konferencji prasowej, poprzedzającej premierę, reżyser Danuta Baduszkowa zarzuciła recenzentom, że nie popierają rodzimej literatury operowej i dlatego kompozytorzy uciekają za granicę. Wobec tego więc, że mamy tak mało polskich dzieł operowych, te które powstają, nawet jeśli są słabe, powinny być popierane i oceniane życzliwie. Gdyby na przykład „Białowłosa”, której prapremiera odbyła się dziewięć lat temu w Warszawie, nie była tak ostro skrytykowana, dziś mielibyśmy już trzy lub cztery pozycje sceniczne Henryka Czyży. Krytyka spowodowała lukę w twórczości tego kompozytora.

Oczywiście nikt rozsądny, komu leży na sercu dobro polskiej muzyki, nie chce być przyczyną ucieczki kompozytorów za granicę, nikt nie chce powodować luki w ich twórczości. A więc — o nieudanych pozycjach polskiej literatury operowej — nihil nisi bene. Jest to pogląd tak jednoznaczny, że nawet polemizować z nim się nie chce, a tym bardziej traktować go poważnie. Jak to słusznie sam Henryk Czyż powiedział, nawet najwięksi kompozytorzy świata przeżywali ciężkie chwile spotykające się z surową i niesprawiedliwą nieraz krytyką publiczności, kiedy to ich opery na premierach wygwizdano. Ale nie rezygnowali z komponowania, które było ich artystyczną potrzebą, pisali dalej nowe dzieła, te wygwizdane pozostawiając próbie czasu. I one często tę próbę przetrzymały ku swojej i kompozytora pełnej chwale.

Być może „Białowłosa” należało pozostawić takiej próbie czasu, być może to nietypowe dzieło sceniczne jest dla nas za trudne, zbyt nowatorskie, być może poznałyby się na nim dopiero przyszłe pokolenia. Tymczasem Henryk Czyż, kompozytor i autor libretta w jednej osobie, był na to zbyt niecierpliwy, poddał „Białowłosa” zabiegowi przeróbki i wystawił ponownie. Więc my, nieświadomi jak przyjmą je przyszłe pokolenia, oceniamy według naszych kryteriów, gustów i upodobań.

Pisząc o tej przeróbce, Henryk Czyż porównuje ją do przeróbki sweterka, pozostałmy więc na chwilę przy odzieżowych metaforach. My kobiety, wiemy najlepiej, że wszelkie przerób-

ki źle uszytej sukni są straconym działaniem. Nic nie pomagają, suknie spisuje się na straty. Sądząc z tego, co widzieliśmy na scenie Teatru Wielkiego, nie pomogła przeróbka i „Białowłosej”. Nie pomogła, bo błędy tkwiły u samego źródła, w librecie, w tworzywie literackim, w dramaturgii. Tkwią również w realizacji scenicznej, ale to już sprawa wtórna.

Sam pomysł, jak większość pomysłów, jest dobry, gdyby był dobrze zrealizowany! Miał to być musical, akcją umieszczono w XXI wieku, w ośrodku badań kosmicznych na Ziemi oraz w kosmosie, na Nieznanej Planecie. Miał to być musical z ideą, która zmusza do myślenia i refleksji, choć jest rozrywką. Miał być protestem przeciwko bezduszności zautomatyzowanego świata, przeciwko zagubieniu człowieka wśród mechanizmów, przeciwko „cybernetycznej nerwicy”.

Wydaje mi się, że podstawowym źródłem niepowodzenia „Białowłosej” jest fakt, że kompozytor jest jednocześnie autorem (w drugiej wersji — współautorem) libretta. Kompozytor, który jest fachowcem w sprawach muzyki, a nie jest fachowcem w sprawach literatury i dramatu, zawsze będzie podporządkowywał libretto i akcję sceniczną, muzyce. A w dziele scenicznym powinno być akurat odwrotnie. Tak się stało i w „Białowłosej”. Kompozytor nagina akcję do muzyki, w rezultacie muzyka płynie, a na scenie przez długie (jakże długie dla widza) chwile, nie się nie dzieje. Notabene nad tym, aby się na scenie coś działo, czuwał reżyser, ale o tym nieco później.

Literatura typu science fiction, jeśli ma być wartościowa, musi opierać się na prognozach naukowych, na przewidywaniu, nie może być wyszana z pałca na zasadzie: jak sobie mały Kazio wyobraża wiek XXI. Przeniesienie fantazji naukowej na scenę jest jeszcze trudniejsze, ubranie jej w realne kształty postaw i poczynił ludzkich, w materialny świat architektury, strojów i t.d. wymaga pogrzebania w książkach, konsultacji z fachowcami. O to nie zatroszczyli się autorzy „Białowłosej”, realizatorzy przedstawienia. Dlatego zapewne wszystko co oglądamy na scenie jest naiwne, nie przekonujące, śmieszne, lecz wcale nie zabawne, choć miał to być spektakl rozrywkowy. Słabość tworzywa literackiego spłaszczyła zamierzoną ideę, która jest pseudo-filozofia. Tzw. Człowiek wygłasza „złote myśli”, jak np., że „trzęźwość jest taka męcząca” lub zwroty takie jak „jednocy-lindrowy przestarzały model serca nie zazna wytechnienia”. Owe złote myśli wygłaszane są na ogół w tzw. częstochowskich rymach, co pozwolił sobie stwierdzić gołosłownie, bez przykładów,

by nie znać się zbyt niósł nad autorami. Nad tym, by na scenie coś się działo, podczas gdy naprawdę nie się nie dzieje, czuwała Danuta Baduszkowa. Więc chór biegł, balet tańczył, scena się kręciła, światła zapalały i gasły, tylko widownia nie wiedziała o co chodzi i po co to wszystko. Nikt na przykład nie rozumiał dlaczego w obrębie bodajże trzecim, ban-

śmieszne, choć wcale nie zabawne. A przecież musical to forma bądź co bądź rozrywkowa. Papierowi są bohaterowie wygłaszający wyświechtane frazesy, przeżywający dramaty, które nikogo nie obchodzą, nie przekonują, jest Nieznana Planeta. Udowodnienie, że żyją tam istoty szczęśliwe, nie skażone ziemską cywilizacją, przypało głównie Witoldowi Borkowskiemu. I

wiele pracy i rzetelnego trud. Jeśli ten wysiłek wzbogacił ich doświadczenie muzyczne i aktorskie, to nie jest zmarnowany. Najtrudniejsze zadanie miała wykonawczyń rolą Białowłosej, Delfina Ambroziak, która pięknie zaśpiewała swą bezsłowną partię, stworzyła też dużą kreację aktorską. Dla debiutującej Danuty Sal-skiej rola ta była na pewno dobrym ćwiczeniem scenicznym i wokalnym. A trudna i ujawniająca najmniejsze wady emisji wokaliza na pewno pomoże jej w dalszej pracy nad bogatym głosem, którym obdarzyła ją natura.

Przedstawienie sobotnie, prowadzone przez Henryka Czyży było mniej zrozumiałe niż niedzielne, prowadzone przez Dzansuga Kachidze. Nie ma to oczywiście związku z osobą dyrygenta. Po prostu w pierwszej odsadzie, z powodu złej wymowy paru czołowych wykonawców, tekst nie docho-dził do widowni. W drugiej odsadzie wiele spraw się wyjaśniło. Niestety, bez korzyści dla tekstu.

Przygotowali starannie wokalnie swoje partie i wykonali bez zarzutu: Jerzy Jadczyk, Zbigniew Jankowski, Zdzisław Krzywicki, Eugeniusz Nizioł, Antoni Majak, Stanisław Miłośński, Igor Mikulin, Tadeusz Gawroński, Roman Werliński, Adam Duliński i inni. Wystąpili również artyści teatrów dramatycznych: Jan Zdrojewski i Józef Zbirog, którzy nie ponoszą żadnej odpowiedzialności za jakość wiersza i filozofii, które prezentowali. Wydaje mi się, że Barbara Polomska ma za słaby głos do roli Ewy Berger. Alicja Pawlak ma dostatecznie mocny, ale czy nie szkoda jej pięknego głosu na niemuzyczny krzyk?

Niestety, niewiele dobrego da się tym razem powiedzieć o scenografii niezawodnego dotychczas Mariana Stańczaka. Dekoracje są pretensjonalne, przeladowane błyskotkami i tanią symboliką. Również nieprzede wszystkim w tym przedstawieniu. Podobnie można powiedzieć o strojach.

Szkoda chyba wysiłku i kosztów, jakie włożył Teatr Wielki w to przedstawienie. Ale przede wszystkim szkoda muzyki Czyży. Błyskotliwej, efektownej, znamionującej pióro doświadczonego, utalentowanego muzyka. Szkoda, że kompozytor nie zaprosił do współpracy poety — dramaturga równie utalentowanego w swej dziedzinie, jak on sam jest utalentowanym muzykiem.

A reszta w rękach niebios, które niech dodadzą sił naszym twórcom, by się łatwo nie załamali.

\*) „Białowłosa” — musical w II aktach. Muzyka: Henryk Czyż, libretto: H. Czyż i D. Baduszkowa, inscenizacja i reżyseria: D. Baduszkowa, scenografia: Marian Stańczak, choreografia: Witold Borkowski, współpracownicy muzyczna: Dzansuga Kachidze, kier. chóru: Włodzisław Zdrojewski, Teatr Wielki. Premiera 2.X.1971.

TERESA WOJCIECHOWSKA

## Nerwica cybernetyczna

da głupkowatych dziennikarzy (zresztą głupkowaci to oni są przez cały czas), przerywa nagle konferencję prasową, by z wrzaskiem uciec za kulisy. Ja się domyśliłam dlaczego. Bo wy-magała tego muzyka, crescendo, które miało doprowadzić do jakiejś kulminacji, a nie doprowadziło do nikąd. Takiego rozmięcia się dramaturgia muzycznej z dramaturgią sceniczną było znacznie wię-cze.

Nieprawdziwe w tym przedstawieniu jest wszystko. Nieprawdziwe, że aż

skoro doszliśmy do Witolda Borkowskiego, trzeba powiedzieć, że baletu jest w tym przedstawieniu niezmiernie dużo. Balet wypełnia luki, balet lata pięknie, dramaturgiczne, balet tańczy tam, gdzie się nie dzieje, a muzyka płynie. Tańczy pod bukoliki i pod zbiorowy gwałt, pod walczyska i pod rytmy afrykańskie. Trudny obowiązek nałożono na Witolda Borkowskiego, trudne zadanie mieli tance-rze.

Trudne zadanie mieli wszyscy wykonawcy. Włożyli w to przedstawienie



Rys. P. Udarowiecki

ści, ujmującej zresztą: 85 proc. młodych neofilologów to nasze piękne polskie dziewczyny. Znacznie mniej troszczyły się o pogłębienie poprawnej umiętności obcojęzycznej. Z kolei we własnym gronie postugiwały się z natury rzeczy językiem ojczystym. Personel dydaktyczny uczelni zagranicznej był — oględnie mówiąc — raczej przypadkowy i liczebnie zbyt mały. Pozostali pracownicy korzystali z zasłużonych urlopów, lub bawili na zagranicznych imprezach, jako że najlepsi wyjeżdżają zwykle w świat. Nasze ministerstwo nie miało wpływu na program i jego realizację. Proces dydaktyczny, prowadzony przez personel nie przygotowany do specyficznej pracy z obcojęzycznymi na odcinku nauczania języka, musiał być siłą rzeczy oparty na improwizacji, co nie mogło dać pożądanego rezultatu.

Zespołowe praktyki językowe w kraju czy za granicą nie są oczywiście idealnym narzędziem wygładzającym drogę do opano-

wania umiętności językowych. Jednakże wybrać należy mniejsze zło, a to przemawia po 15-letnim doświadczeniu zdecydowanie na korzyść wakacyjnych praktyk językowych organizowanych w kraju. Należałoby jednak jeszcze bardziej — i to jest warunek niema na miarę „być albo nie być” — zwiększyć liczbę zagranicznych mentorów (studentów lat starszych odpowiedniego kierunku neofilologicznego) tak, aby jeden mentor przypadał na 5 do 7 studentów. Koszt nie będzie duży, większy, gdyż honorarium dla mentora wynosi tylko 900 zł. Możliwość przyjazdu do uroczego Krakowa nie jest tutaj bez znaczenia. Odpowiednich kandydatów nie zabraknie.

W procesie dydaktycznym praktyk należałoby zrezygnować z wykładów. Uczni twierdzą, że w umysłach słuchaczy pozostaje zaledwie 15 proc. informacji zawar-tych w dobrze przygotowanym wykładzie. Czas ten należałoby przeznaczyć na ćwiczenia fonety-

czne. Można by tu pójść na drobne ustępstwa w przypadku, gdyby chodziło o przekazanie studentom wzorowego wystąpienia przed licznym audytorium, które (wystąpienie) połączone byłoby z tak rzadkim w dobie obecnej krasomównstwem, jakie sprzyja zainteresowaniu słuchacza przedmiotem.

Wylania się także konieczność powołania przez ministerstwo stałej instytucji, która zajmowałaby się przez cały rok organizacją praktyk językowych zarówno od strony administracyjnej, jak i naukowo-dydaktycznej. Dotychczasowy zwyczaj powoływania w ostatnich chwilach tak ogromnej imprezy ogólnokrajowej, która również błyskawicznie znika po niecałym miesiącu trwania, nie może być uznany za słuszny, jeżeli uwzględnimy tendencję stale wrosztającej liczby uczestników praktyk zobowiązanych programem studiów do zaliczenia tego bezpośredniego kontaktu z obcojęzycznymi. Przy małej liczbie studentów łatwiej było realizować za-

dania nawet w trybie doraźnego powoływania kursu. Jednakże to, co wczoraj było wystarczająco dobre, często zmusza dziś do podejmowania decyzji na zasadzie „jakoś tam będzie”.

Nie bez wpływu na sprawne działanie kierownictwa praktyk byłoby, aby najdalej wczesną wiosną, po dokładnym rozważeniu problemów wynikłych w czasie praktyk bieżącego roku, zorganizować konferencję kierownictwa polskiego z przedstawicielami delegacji zagranicznych poszczególnych sekcji językowych w celu spokojnej wymiany spostrzeżeń i dokładnego nakreślenia programu, który należałoby przedłożyć naszemu ministerstwu.

Tendencja wzrostu liczby uczestników praktyk stwarza już obecnie wiele trudności, zwłaszcza dla gospodarzy w Krakowie. Preto uzasadniona wydaje się propozycja, aby w roku przyszłym, dla rozładowania „najazdu” na Kraków, przenieść najliczniejszą sekcję językową, jaką jest Sekcja Rosyjska (około 400 uczestników)

do innego ośrodka uniwersyteckiego. Ze względów osobistych z przykrością o tym piszę. Sprawa jednak wymaga takiej separacji. Skład osobowy delegacji zagranicznych powinien mieć charakter stały, przynajmniej w zakresie działalności kierowniczej. Łatwiej jest współpracować z ludźmi, którzy poznali już na miejscu specyfikę zadań.

Ostatnia sprawa dotyczy członków kierownictwa polskiego i kierowników poszczególnych sekcji językowych bezpośrednio odpowiedzialnych przed ministerstwem za przebieg praktyk wakacyjnych. Są to entuzjaści mogący się poszczycić legitymacją „cenionych pracowników w macierzystych uczelniach kraju, rezygnujący z zasłużonych urlopów na rzecz praktyk wakacyjnych. Trudno ich zniechęcić i odciągnąć od tych ciężkich i dodatkowych obowiązków, ale mogłoby oni dać z siebie jeszcze więcej i osiągnąć większe zadowolenie, gdyby ministerstwo zechciało w pełni dostrzec ich wysiłki.

JERZY PŁATKOWSKI

# I w kulturze potrzebna strategia

W najbliższym naszym mieście dyskutuje się zarówno o problemach miejskiej gospodarki, jak i kultury. Wiele spraw pozostaje przy tym nadal otwartych, do końca nie wyjaśnionych. Podobnie też ze sprawami kultury w Łodzi.

Podobnie? A może znacznie gorzej, niż gdzie indziej, jeśli uznać za słuszną opinię jednego z dyskutantów, który na łamach „Odgłosów” utrzymuje, że „absolutnie nie zdajemy sobie sprawy nie tylko z tego, co jest celem (organizacji kultury), ale nie wiemy zupełnie, jak ten cel realizować”. Nie mamy pojęcia, „jakich to ludzi potrzebujemy do organizacji kultury”.

Nie mam zamiaru występować w obronie wszystkich, którzy dotychczas — rzekomo bez podstawowego rozważania w aktualnej problematyce kultury — zabierali głos w dyskusjach toczonych w Łodzi, myślę jednak, że autor artykułu mocno przesadził, jeśli się bowiem śledzi przebieg dyskusji (choćby na łamach „GR”), czemu Andrzej Lipiński może nie poświęca uwagi, można dostrzec, przynajmniej w środowiskach „twórczych”, panujące tam nie tylko przeświadczenie o potrzebie zmian w organizacji życia kulturalnego, ale przede wszystkim, co jest sprawą podstawową, zrozumienie ich celu.

Jeśli formuluje się go nawet ogólnikowo, jako konieczność dania pierwszeństwa upowszechnieniu wartościowych treści kulturalnych, ma się na myśli dzieła o wysokich walorach artystycznych, wychodząc z założenia — co trafnie wyraził na łamach „Współczesności” Józef Teichma — że tylko wybitne dzieła sztuki mogą być nosicielami słusznych treści ideowych, a mówiąc inaczej, że artystyczne „chały” złą wyrządzają przysługę bliskim nam ideom. Wiemy więc, co mamy ludziom dawać, a że nie podajemy tytułów dzieł? Te zawsze mogą być przedmiotem sprzecznych ocen i

ostrzych polemik. Pozostaje pytanie: jak, czyli dotyczące organizacji kultury i metod upowszechniania. Jest to nadal kwestia otwarta, ale, bardzo szeroko przez nas otwarta, dostrzega się bowiem, że w jej zasięg wchodzi sprawa kwalifikacji kulturalnej kadry i nawet zasad jej powoływania. Nie jest to mimo wszystko równoznaczne z powszechną niewiedzą, o której pisze Andrzej Lipiński.

Zgadzam się z autorem artykułu, że znane zaniedbania Łodzi: bytowo-mieszkaniowe i w warunkach pracy, że niższe niż w innych wielkich miastach przeciętne zarobki i niższy poziom wykształcenia, a wreszcie niedostatek usług i uciążliwa komunikacja, nie sprzyjają uczestnictwu ogółu ludności w życiu kulturalnym, traktowanym choćby tak konsumpcyjnie, jak w przykładzie autora o filharmonii. Co prawda nie wszystkie niekorzystne dla Łodzi porównania z innymi ośrodkami mogą przyjąć „na wiarę”, jak wymienione w artykule „rodzaje egzystencji mieszkańców, poziom rozwoju instytucji społecznych, system działań administracyjnych, społeczna aktywność oraz stan informacji kulturalnej”. Z równą mocą dowodową mógłbym odpowiedzieć, że „poziom rozwoju instytucji społecznych” jest w Łodzi niebotycznie wysoki, ale czytelnik wolałby zapewne mieć to lepiej udokumentowane.

Widząc, czego ludziom brak, i że nie bez powodu uzyskaliśmy na poprawę warunków życia miliardowe sumy, chciałbym widzieć w Łodzi placówki kulturalne o ogólnopolskim i międzynarodowym znaczeniu, do czego wzdycha też Andrzej Lipiński, „ale trochę dalej stwierdza, że „znaczenia miasta w hierarchii rang obiektywne istniejących nie zmienią nawet zlokalizowane tutaj połączone zespoły Petera Brooka i Jerzego Grotowskiego, wspartych Marcelem Marceau i pantomimą pana Tomaszewskiego”. Obyśmy je mieli

tutaj, te zespoły (choćby Marceau jest to mim najzupełniej pojedynczy, a o Tomaszewskim jeszcze nie czytałem przez „pan”). Uważam reszta, że tego rodzaju rangi nie są w istocie „obiektywne”, a ponadto mam wątpliwości, czy zawsze dla znaczenia miasta „system działań administracyjnych” ważniejszy jest od wybitnych placówek.

Poszukując recepty na uzdrowienie łódzkiej kultury autor artykułu stara się — i słusznie! — przeniknąć tzw. specyficzną odbiór dóbr kulturalnych w naszym mieście, co naturalną koleją rzeczy skłania go do podejmowania rozważań socjologicznych. Szkoda znów, że są to tylko impresje socjologiczne, bo np. czy ludzie osiedlający się w Łodzi wyłącznie tylko „do tego miasta nie chcieli przyjechać, by awansować”? Czy tylko w Łodzi tak było, że „musieli przyjechać, bo konieczne było odrzucenie dotychczasowego bytowania”. Nie tylko do Łodzi wędrowano za pracą, a ponadto był to jednak awans dla ludzi z wiosek i miasteczek. Prawda, że mieliśmy tu do czynienia z wielkimi migracjami, ale ma je do dziś i Kraków w związku z Nową Hutą, miały też miasta na ziemiach odzyskanych.

Nie mając dostępu do ścisłe tajnych źródeł, doznałem prawdziwego zaskoczenia na skutek zawartej w artykule informacji, że w 1960 r. „odeszło z Łodzi” blisko 144 tysiące osób, które przede wszystkim „organizowały administrację, instytucje naukowe, zaplecze oświatowe i wyposażenie kulturalne Łodzi”. Nigdy nie przypuszczałem, żeby w jakimkolwiek mieście na kuli ziemskiej aż tyle osób trudniło się tak wzniosłymi sprawami! Przecież w Łodzi stanowiłyby one czwartą część całej ówczesnej lud-

ności miasta! No i czy zbywały jeszcze jakieś ręce do pracy w fabrykach łódzkich?

Nie całkiem podzielam poglądy autora, że „wszystko to, co kształtuje świadomość współczesnego człowieka u-sytuowane jest poniżej średniej krajowej”, bo np. Teatr Wielki mamy świetny, nie martwię się też na zapas, wspólnie z autorem, czy wysoka frekwencja w tej placówce nie jest przypadkiem wyrazem snobizmu, pomijam wiele jeszcze kwestii dla mnie niejasnych, utrudniających mi uchwycenie przewodniej myśli artykułu, którego końcowe wnioski zawierają, moim zdaniem, przynajmniej dwie godne rozpatrzenia myśli. Autor postuluje powołanie jakiejś kolegalnej formy stałego współzrządzenia kulturalnego, skupiającej środki materialne i realizującej wybrane cele. Ten współdziałający z władzą administracyjną społeczny urząd, nazwany jest w artykule korporacją. Autor uważa również za konieczne zwiększenie zakresu oraz intensywności socjologicznych badań nad kulturą, które w Łodzi można oprócz na licznym i dobrze przygotowanej kadry socjologów.

Te słuszne myśli nie wydają się jednak dyrektywą na dziś. Nasza strategia zarówno w gospodarce, jak i kulturze wymaga przeprowadzenia przeobrażeń w marszu. I dlatego, analizując i dyskutując, musimy na co dzień dokonywać trafnego wyboru treści i sposobów upowszechniania. Jeśli w tym względzie uzupełnim wnioski autora wbrew jego intencjom, to w tym celu, żeby przeciwstawić się defetystycznemu nastrojowi, jaki mógłby szerzyć się pod wpływem tego wiele dyskusyjnego, a przy tym nie dość jasno napisanego artykułu.

## PRZEPRASZAMY

W „Odgłosach” z dnia 17.X. br. do recenzji „Bału w operze” z Teatru Muzycznego wkradła się z winy korekty przykra omyłka. Rolę Anieli kreuje w przedstawieniu nie K. Bednarczyk, jak napisaliśmy, lecz Kazimiera Rymarczyk. Za tę omyłkę serdecznie Artystkę i Czytelników przepraszamy.

## W następnym numerze „ODGŁOSÓW”:

- ★ KAROL BADZIAK — Wszyscy jesteśmy sędziami
- ★ ANDRZEJ MAKOWIECKI — Człowiek, który śpiewał tylko nocą
- ★ Wspomnienia o Dostojewskim oraz recenzje, felietony, nowela kryminalna.



## SWIADEK HISTORII

Przed kilku miesiącami o słynnej bitwie pod Monte Casino opowiadał w telewizji Melchior Wańkowicz, obecnie 12 października, w 28 rocznicę bitwy pod Lenino zasiadł przed kamerami generał broni w stanie spoczynku Zygmunt Berling („Spotkanie z generałem”; film telewizyjny, realizacja Roman Wlonec, zdjęcia Mieczysław Vogt). W ten sposób już drugi wstąpił w szeregi w całym bogactwie okoliczności i uwarunkowań. A tego właśnie doznałmy podczas telewizyjnego spotkania z generałem Berlingiem.

Był świadkiem historycznego wydarzenia to jeszcze nie wszystko. Nie każdy potrafi bowiem dać swemu świadectwu formę sugestywną i przekonującą, w nie każdego ustach historyczny moment ożywa w całym bogactwie okoliczności i uwarunkowań. A tego właśnie doznałmy podczas telewizyjnego spotkania z generałem Berlingiem.

O Lenino pisano u nas wiele. Szczegóły tej tak ważnej w dziejach naszego narodu bitwy znane są dzieciom w szkole i dorosłym. A przecież wywiad telewizyjny przybliżył do nas w czasie to wydarzenie, nasączył je autentycznymi uczuciami, przekazał jakąś syntezę niepowtarzalnej atmosfery, która panowała w ów dzień 12 października 1943 roku, gdy dowódca Dywizji im. Tadeusza Kościuszki dał rozkaz do natarcia.

W generale Berlingu odkryliśmy wyjątkowo talent narracyjny. W prostych, ale pełnych kultury słowach, bez cienia pozycji, czy chęci epatowania słuchaczy, snuł przed oczyma naszej wyobraźni piękną opowieść o uchodźcach polskich, którzy postradali wszystko i do zaofiarowania ojczyźnie mieli jeszcze tylko życie. I tej ofiary nie poskąpili.

Przebieg bitwy był dramatyczny. Po gwałtownym przygotowaniu artyleryjskim pododdziały I Dywizji sforsowały rzeczkę Mieręję i przełamując linie obronne hitlerowskiego 89 korpusu posunęły się cztery kilometry do przodu, zdobywając wieś Trygubowo. Spragnieni walki ze zleniawionym wrogiem żołnierze polscy szli do natarcia jak na ćwiczenia. Zachowały się zdjęcia filmowe tego ataku. Kościuszkowcy idą do przodu wśród gęstego ognia nieprzyjacielskiego wyprostowani, nie krzyjąc się. „Padał tylko ten, wspomni- na generał Berling, kto już miał nie wstać”.

Dramat polegał na tym, że sąsiednie dywizje radzieckie, wykrwawione w poprzednich walkach, nie miały tej siły uderzeniowej, co Polacy. Na naszym odcinku powstało więc wyrzucenie, które groziło I Dywizji oskrzydleniem. Wtedy dowódca wydaje rozkaz opuszczenia wsi Trygubowo. Rozkaz ten nie dociera do wszystkich żołnierzy. Pododdział kapitana Wysockiego otoczony zostaje przez wroga w budynku szkolnym i broni się do ostatniego naboju. Sam kapitan popełnia samobójstwo, by nie dostać się do niewoli.

Oto jak w ustach generała Berlinga odżywały wypadki sprzed 28 lat. Gdy wspominał znaczne straty polskie w zabitych i rannych, gdy przymykał oczy, czuło się, że dla niego to nie odległa przeszłość, że wspomnienia są w nim żywe i poruszają go głęboko, tak jakby to było wczoraj.

Była to relacja żołnierska, nie zagłębiająca się w kretę nierzaz i skomplikowane drogi polityki, nie ulegająca konunkturalnym zwrotom. Generał nie opowiadał nam historii powstania I Dywizji z punktu widzenia dzisiejszych doświadczeń i ocen, ale tak jak oglądał wydarzenia wtedy, jako świadek ich, a nie komentator. I w tym właśnie tkwiła moc i autentyczność telewizyjnego spotkania z generałem.

Naczelna Redakcja Programów Popularno-Naukowych Telewizji Polskiej rozmawia z Wańkowiczem i Berlingiem zapoczątkowała znakomity, moim zdaniem, cykl konfrontacji z najnowszą historią. Myślę, że programy te będą kontynuowane. Może przemówi w podobny sposób pułkownik Skalski, legendarny dowódca Dywizjonu 303 i bohater bitwy o Anglę, albo pułkownik Jan Mazurkiewicz-Radosław, jeden z dowódców Powstania Warszawskiego. Szkoda, że nie żyje już generał Rómmel, obrońca Warszawy z 1939 roku i dowódca Armii „Poznań” generał Kutrzeba.

Jest jednak wielu jeszcze żywych świadków historii. Niech przemawiają z ekranu telewizyjnego jak najczęściej!

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

## O FILMACH DOBRZE I ŹLE



„SZCZĘŚCIE ANNY” debiutującego reżysera J. Rogowa, to film, który może się podobać. Wielkie filmowe eponele, dramatyczne freski z czasów

Wielkiej Rewolucji Październikowej i wojny domowej — to dziś w większości przypadków pozycje klasyczne, jednym z ich wyróżników był zbiorowy

bohater tworzący historię. Sięgając do tego gatunku twórczości filmowej współczesności nam radzący realizatorzy, nie potrafili w zasadzie nigdy już osiągnąć siły dramatyzmu swych znakomitych poprzedników z Sergiuszem Eisensteinem na czele. Ostatnie lata natomiast przyniosły nam całą serię filmów o tematyce rewolucyjnej, w której walczą o lepsze sensacja i przygoda. Zaczęto nawet mówić o wester-nach, lecz nader rzadko można się było nimi zachwycić. Przy pominięciu wielce nieudanego „Tajemniczo mnicha”, na drugim zaś biegunie postawmy jednak znakomity film W. Moutyła „Białe słońce pustyni”. Zaczęły się na szczęście pojawiać również nowe tendencje w radzieckim kinie „rewolucyjnym”. Na rewolucję i wojnę domową zaczęto patrzeć z perspektywy indywidualnego ludzkiego losu. Z twórczej historii zbiorowej zaczęto wybierać bohaterów jednostkowych, ich działania, ich świadomość i los własny, bardzo osobisty, choć w rewolucji włączony, stanął w centrum uwagi wielu znakomitych filmów. Przynajmniej znów „Pierwszego nauczyciela” A. Konecznowskiego i „Trzeba przeżyć i przez ogień” G. Panfilowa.

„Szczęście Anny” pozostaje

w kręgu tych znakomitych filmów, choć może nie dorównuje im klasą. Małym grzechem filmowej opowieści o Annie, komunistce i rewolucjonistce, jest pewna melodramatyczność jej losów. Musi ona towarzyszyć historii dziewczyny, która odchodzi z czynnej, żołnierskiej walki z Niemowicielem na ręku i dalsze jej filmowe losy wypełnia nie tylko aktywna praca w roli przewodniczącej wsi, ale i czekanie na ukochanego. Pisze o małym grzechu, gdyż jednocześnie, ten w końcu delikatnie prowadzony watek miłości i szczęścia, przydaje jej siły i siabości, uczciwieca bardzo naszą rewolucyjną heroinę.

Sprawdzenie zdarzeń, dramatów i przeobrażeń czasów powojennych do jednej rosyjskiej wsi bynajmniej nie zuboża ich wymiarów, przeciwnie, nadaje im bardzo ludzki sens. Twórcy filmu nie uciekali również od pewnych znaczeń symbolicznych i uogólniających. Osiągają to, budując swą opowieść z sytuacji i konfliktów, które znalazły dotąd z wielkimi rewolucyjnej epiki, a w „Szczęściu Anny” znajdujemy w wymiarze dramatów rodzinnych i ograniczonych do jednej wielkiej społeczności. Przed zarzutami, iż „Szczęście Anny” nie grzeszy pomysłowo-

ścią nowych konfliktów, czy sposobów ich rozwiązań, film ten bronii należy aurą legendy, która go wypięnia. W ludowej opowieści konfliktu, sytuacji i bohaterowie w zasadzie się powtarzają, a w „Szczęściu Anny” jej ton jest dominujący. Film bowiem pokazuje epokę, która jest już wielką legendą, a sytuacje i losy bohaterów tłumaczy ona sama. Służą budowaniu tej atmosfery również piękne zdjęcia operatora E. Jakowlewa, wydobywające z typowego rosyjskiego pejzażu jego niezwykłą poezję, przwodzą na myśl stare płótna mistrzów rosyjskiego realizmu i intencje wszystkich malarskich impresjonistów. Każą również pamiętać o wielkiej rosyjskiej literaturze.

Oryginalny tytuł filmu „NIE PIJE, NIE PALI, NIE PODRYWA, ALE...” miał jeszcze jeden człon — „mais... elle cause”, w którym zresztą wykrzystano gre słów „jest przy-czyna”, bądź „mówi”, gada, plotkuje”. Przydług, choć zabawny tytuł Michela Audiarda służy charakterystyce bohaterki, która w istocie występuje w filmie jako spiritus movens wszystkich zdarzeń. Kto pamięta poprzedni film

Audiarda „Nie drażnić ciocię Leontyny”, szybko może sobie wyobrazić te nowa komedie kryminalna. Unosi się nad nią ten sam duch sarkazmu i wziętej w cudzysłowie niemoralności, a zdarzeniami rządzi pieniądź, który jest niewątpliwie głównym jej bohaterem. Germaine, paryska sprzątaczką, wie wszystko o swych chlebodawcach i by zsić swa marzenia o Monte Carlo, piękne marzenia, z habsburskich czasów, aranżuje intryge, która omiata swych nie nie podtrzymujących szmatowych gospodarzów. Zaczyna się wielka parada 20.000 franków, wędrujących z rak do rak szantażujących się nawzajem chlebodawców — Germaine. Stwara to Audiardowi okazje nie tylko dla wbrzydzenia archaicznych sytuacji, w których, zwłaszcza Annie Girardot i Bernard Blier dają popis swego aktorstwa, ale na- de wszystko obnażania całej głupoty, szaleństwa i destrukcyj- Indy moralnej świata onetane- go pieniądzem. Audiard nie bębbe sobą, gdyby jednocześnie nie pytał, co właściwie na tym świecie jest moralne. Komedie- Jeco jest jednakowoż bardzo przewrotna — jej absolutna niemoralność jest, mimo wszystko, funkcją moralizatorskich zadań.

EWA NURCZYŃSKA

# Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

## NA ZIEMI KOLCHIDY

Wielki Wani leży w Gruzji, niedaleko miejscowości Bagdad (obecnie Majakowski), gdzie urodził się wielki poeta. Od wielu lat na terenie Wani prowadzone były badania archeologiczne. Uczniowie odkryli tu ślady prastarego grodu sprzed naszej ery.

pracach, a następnie zaczęła sama rzeźbić, rysować, malować. Staraniem sekretarza Rejonowego Komitetu zaproszono do miejscowości Wani artystę plastyka. Był to rzeźbiarz z wyższym wykształceniem artystycznym, specjalista od metaloplastyki uprawianej tradycyjnie w Gruzji, tzw.

(wykonanymi metodą czekanki) tych wybitnych ludzi, których imieniem zostały nazwane dane ulice.

Prace wykopaliskowe tak zwanego wanskiego grodu rozpoczęły się w Gruzji jeszcze w roku 1947. Ponad dwadzieścia lat archeologowie ekspedycji Instytutu Historii, Archeologii i Etnografii Akademii Nauk Gruzjińskiej SRR, badają warstwy po warstwie teren gdzie niedawno było słynne miasto Kolchidy. Legło ono w gruz w tragiczny sposób XX wieków temu. Jakże były przyczyny tej nagłej klęski do dziś nie wiadomo. Wydaje się, że owo miasto było centrum handlowym i kulturalnym całej Kolchidy, do której wybrał się legendarny Jazon na czele swych Argonautów, szukając złotego runa czarodziejskiego baranka. Być może, że prace wykopaliskowe odsłonią wiele tajemnic tego miasta.



Czekanka wykonana przez uczniów szkoły artystycznej w Wani

Podczas gdy archeologowie prowadzili swe żmudne badania, w Rejonowym Komitecie Partii postanowiono wybudować wielką drogę, która przebiegać miała niedaleko tego wzgórza, gdzie archeologowie pracowali. I oto podczas budowy drogi natknęto się na wrota z archaicznymi czasów. Wzbudziło to ogromne zainteresowanie uczonych. Wkrótce odkryto stare muzy i odsłonięto grobowce, w których znaleziono bardzo dużo wyrobów ze złota, srebra i brązu — wytwory mistrzów starożytnej Kolchidy.

Sekretarz Rejonowego Komitetu Partii rzucił wtedy hasło, aby młodzież ze starszych klas szkoły wzięła udział w pracach wykopaliskowych. Młodzież zainteresowała się żywo odkrywanymi archeologicznymi, wzięła udział w tych

czekanki. Przyjechał z Tbilisi ze swą żoną także plastyczka, specjalistka od ceramiki. W wiosce wkrótce powstała szkoła artystyczna. Ma ona już za sobą trzy lata działalności i znakomicie się rozwija. Uczniowie jej tworzą piękne dzieła w duchu i tradycji artystycznej swej ziemi. Prace uczniów wędrują na wystawy. Początkowo pokazywano je w Tbilisi, później w Moskwie, a obecnie dzieła młodych artystów wystawiane są i za granicą.

W Wani powstał też piękny stadion sportowy i baseny pływackie. Na murze okalającym te inwestycje urządzono stałą wystawę prac uczniów szkoły. Ale to jeszcze nie wszystko. Na większym skwerze ustawiono rzeźby a przy skrzyżowaniach ulic obeliski z sylwetkami

czesnych litewskich i rosyjskich kompozytorów.

## MUZYKA STOCHASTYCZNA

„Łagodna muzyka, do której ludzie się przyzwyczaili, opiera się na konwencjach, które nie mają już dziś żadnej wartości” — powiedział grecki kompozytor Iannis Xenakis.

Pragnie on stworzyć muzykę wykorzystując wszystkie środki technicznego postępu. Nie komponuje już w sensie tradycyjnym, lecz robi obliczenia aby znaleźć możliwe najlepsze rozwiązanie dla swych muzycznych zamysłów. „Kiedy przychodzi mi do głowy pomysł jakiegoś utworu to przy jego realizacji opieram się nie na intuicji, ale urzędywiałam mój zamiar na prawach rachunku nowoczesnej matematyki” — mówi Xenakis. Muzykę powstałą w wyniku tych matematycznych kalkulacji nazywa kompozytor stochastyczną od greckiego słowa „stochos” (cel).

To nie jest muzyka składająca się z poszczególnych tonów czy melodii. „To muzyka z masami tonów, „To są chmury tonów. Mleczne Drogi dźwięków”. A te fenomeny dają się określić jedynie statystycznie. W roku 1957 Xenakis stworzył dzieło zatytułowane „Achorripsis”, posługując się wprowadzając obliczeniami matematycznymi, ale nie używając jeszcze mózgu elektronowego. Ale już w roku 1962 posłużył się niewielkim komputerem. Przy pomocy komputera powstały też i inne utwory Xenakisa: „Atrees” (na dziesięć instrumentów), „Morsima-Amorsima” (na fortepian

i trzy instrumenty smyczkowe), „Bonta” (na fortepian i pięć instrumentów dętych), „Akrate” (na 16 instrumentów dętych), „Nomos Alpha” (na wolonczelę solo) i „Bohor” (kompozycja elektroakustyczna).

Pomimo tego, że dzieła swe tworzy przy pomocy rachunku matematycznego

mu policzek. W roku 1947 Xenakis ucieka z Grecji. W swej ojczyźnie zostaje zaoconie skazany na śmierć. W Paryżu kompozytor ożenił się z Francuzką, towarzyszką walki z lat wojennych i podjął przerwaną przez wojnę studia matematyczne. Studiował ponadto architekturę i muzykę. Pracował ja-



Xenakis na ruinach Persepolis

ko architekt i był asystentem słynnego Le Corbusiera. Współpracował z nim przy kilku projektach słynnych budowli (m. in. takich jak klasztor w La Tourette, budynek parlamentu w Chandigarh, biurowca mieszkalne w Nantes i Marsylii). Według projektu Xenakisa powstał pawilon „Phillipsa” na światowej wystawie brukselskiej w roku 1958. Warto dodać, że na bazie matematycznej tego projektu powstała kompozycja muzyczna Xenakisa, jak prawię wszystkie jego muzyczne utwory, nazwane po grecku, „Metastasis”.

Na wystawie, w Montreale w dziewięć lat później, tworzy Xenakis swoją „Polytope” dzieło na czterech orkiestry i efekty świetlne.

Obecnie Iannis Xenakis pracuje w Bloomington (Indiana) z grupą muzyków i matematyków nad problemem ujęcia wszelkich muzycznych struktur w formuły, analogiczne do aksjomatów matematycznych. „Bliski jest czas — powiedział — kiedy wszelka muzyka i wszelkie muzyczne zamysły będą się opierały na jednej, ogólnej, jednolitej teorii.”

Obecnie Iannis Xenakis pracuje w Bloomington (Indiana) z grupą muzyków i matematyków nad problemem ujęcia wszelkich muzycznych struktur w formuły, analogiczne do aksjomatów matematycznych. „Bliski jest czas — powiedział — kiedy wszelka muzyka i wszelkie muzyczne zamysły będą się opierały na jednej, ogólnej, jednolitej teorii.”

Xenakis pracuje także nad skonstruowaniem takiego mózgu elektronowego, który rezultaty matematycznych operacji przekształcałby natychmiast — w muzykę.

Xenakis pracuje także nad skonstruowaniem takiego mózgu elektronowego, który rezultaty matematycznych operacji przekształcałby natychmiast — w muzykę.

## OPERA SZESNASTOLETNIEMU KOMPOZYTORCE

Jak informuje „Komsomolskaja Prawda” w Muzycznym Teatrze w Wilnie odbyła się premiera opery zatytułowanej „Niedźwiadek zachorował”. Autorem tej opery jest szesnastoletnia uczennica szkoły artystycznej w Kownie — Jurate Bałtramiūnaite. Operę o przypadkach wesołego misia Jurate napisała na podstawie ludowych bajek. Role w spektaklu grali koledzy szkolni autorki opery.

Bałtramiūnaite już od kilku lat komponuje pieśni dla szkolnego teatru. Jest też utalentowaną wykonawczynią utworów muzycznych. Już dwa razy została laureatką republikańskich konkursów młodych wykonawców. Gra utwory fortepianowe Bacha, Szopena oraz współ-



Iannis Xenakis i angielski reżyser Peter Brook

Jest to trochę tak, jakby za minione lata zaniedbań gospodarczych i politycznych obwiniał 32 miliony Polaków. A przecież wiemy, choćby z lektury „Nowych Dróg”, że można wskazać bardziej konkretnie.

Oto, jest przyczyna, że z takim poglądomi, jak dotąd, dyskutuje tylko felietonista, a nie, jak sobie publicysta wymarzył, prezesi, dyrektorzy, zarządy stowarzyszeń twórczych. Po prostu publicysta przyjął zbyt księżyco-piaszczynę dyskusji. Teoretycznie ma rację. Mogły środowiska wpływać na politykę szefów nawy kulturalnej, mogły wywalczyć galerię sztuk, mogły zapobiec emigracji do Warszawy wybitnych artystów... i tak dalej i tak dalej. Teoretycznie mogły, więc dźwiał się im odważne zarzuty. Szkoda tylko, że praktyka życiowa jest daleko bardziej skomplikowana niż teoria. Szkoda, bo wiele też w artykule „Panoramy” z dnia 17 i 18 października br. zasługuje na uwagę.

Ale też jest wiele śmieśnizostek i zwykłych insynuacji. Oto artykuł A. Lipińskiego, opublikowany w „Odgłosach”, w którym autor stwierdził: „Za stan wyposażenia kulturalnego

naszego miasta nie odpowiada ani Y ani X. Sądzę, że należy winie określony system, który niewiedzę usankcjonował jako konieczną zaletę”. A oto replika: „Człowieku, cóż Ty z tym systemem. A jeśli nawet system — zastanów się — skąd on, od Boga dany, czy od ludzi?” I zaraz podstawił się pod te istory i greki nazwiska, ale akurat takie, które bezpiecznie można atakować. Nazwiska — oczywiście — artystów. Ową określony system stworzyli... Jazdźnyński, Liberski i Iwiński. Pisarz, plastyk i aktor. Nikt inny? A system jest faktem, i udawanie, że się o tym nie wie, jest taktyką życiową.

No i czy można poważnie dyskutować z podobnymi stwierdzeniami? Czy można poważnie dyskutować z publicystą, który bez żadnego uzasadnienia pisze, że „środowisko literackie błąka się na peryferiach czasu i miejsca, w którym żyje”. Ktoż nie wie, że pięćdziesiąciu łódzkich pisarzy wydało w roku 1970 pięćdziesiąt książek?

Oczywiście usłyszemy apodyktyczną odpowiedź, że były to książki z wszelką dalszą dyskusją stanę się niemożliwa. Pisarze, owszem, niech piszą felietony, artykuły, albo „coś

w ramach dyskusji przedzjazdowej...” Ale wiersz jest fa, proza jest fe... Można pójść jeszcze dalej — niech malarz rzuci sztafugi i zacznie rysować do wypły do gazety, niech aktor rzuci teatr, film i telewizję i zajmie się kolportażem...

Służebną rolę literatury i sztuki pojmuję się jak widać nieraz dość prostacko. Trochę usprawiedliwia to fakt, że podobny ton daje się czasem jeszcze słyszeć z przysiadających stołów. Tylko o wówczas zrobić z tym zdaniem na temat konformistów i potaklewców?

W jednym Katarasiński ma rację. Nie jest dobrze ze sprawami kultury w Łodzi. Ale nie poprawia sytuacji artykuły pełne nieuzasadnionych pretensji, dwuznacznych sugestii i nalownych propozycji. Polemizując z tezą, że winne są władze kulturalne, nie można popaść w drugą skrajność, bijąc palką środowiska twórcze i na nie zrzucając odium wszystkich win. Prawda leży pośrodku i jest niewygodna. Każda pełna prawda jest niewygodna. Nie odkryją jej publikacje pisane z wygodnych i bezpiecznych pozycji.

JERZY WIDOR

# Bez strachu

WIELCY LUDZIE

Trudne jest określenie zbiorowa, uogólniająca Wielkich ludzi. Bo powiedz, że Wielki to taki, który dokonał czegoś Wielkiego — to masło maślane. Ponadto, czy jest Wielki już po jednym Wielkim czynie, czy też musi wielkoczynnie przez całe życie. Jak intensywne muszą być jego dzieła, jak długo trwać akt twórczy? Tworząca Marsylianki, która trwała po dziesiątka, stworzyła Marsyliankę w ciągu jednej nocy i niczego Wielkiego poza Marsylianką w życiu nie stworzył. Czy więc, aby być Wielkim, wystarczy zaprezentować się produktem jednej nocy, czy też dziełami całego życia. Jak wreszcie patrzeć na twórcę, który był Wielkim przez połowę, czy też przez całe życie, a przez resztę przedtępi, fub poniżej przeciętność — szalenia... Dlaczego jest tak mało Wielkich kobiet, a tak dużo Wielkich mężczyzn. Prawdopodobnie wcale nie dlatego, by kobiety miały mniej substancji psychicznej niż mężczyźni. Raczej dlatego, że Wielkie kobiety nie lubią występować bezpośrednio, działały poprzez narzędzia, poprzez media. Narzędziami, mediami Wielkich kobiet bywały różni, używani przez nie i poruszani mężczyźni. Godną całej książki jest twórczość mężczyzn, dokonana pod bezpośrednim wpływem, inspiracją, dyktandem kobiet. Rzekło się o inspiracji, otóż często inspirowały Wielkich rzeczy osobliwe — rozmaite widzenia, słyszenia i sny. Dziewięć Orleańska dokoła, nala Wielkich rzeczy, ponieważ dokładnie inspirowały ją, co ma dokonać, pewnie, tylko przez nią słyszane głosy. Sokrates powstrzymał się przed niestosownym postępowaniem tylko dlatego, że odradzał mu je pewien głos tylko wewnętrzny, słyszany tylko przez niego. Skłonny jestem twierdzić, że głosy były bardziej sugestywnymi inspiratorami Wielkości, niż Widzenia. Rola dotyku w tych kwestiach jest skromniejsza, węższa i smaku prawie żadna. Natomiast inspiracje, które umownie nazywamy halucynacjami, nie pojawiają się nigdy wyraźnymi treściami poprzez szorsty zmysł. Szorsty zmysł u Wielkich rozbuździ i gasi nastroje. Ciekawa sprawa są halucynacje, mające za treść własną osobę. Oto ktoś przed Wielkim czynem spotyka samego siebie i w tym momencie ważną, bowiem w wypadku niespełnienia Wielkiego czynu, trzeba tłumaczyć się przed samym sobą, a więc przed kimś, przed kim nie ma ucieczki — bo przed samym sobą. I jak tę rolę kontrolera czynów poprzez sobowtóra zrozumieć, jeżeli właśnie, aby Wielkiego czynu dokonać, trzeba samego siebie przekroczyć...

BERNARD SZTAJNERT



